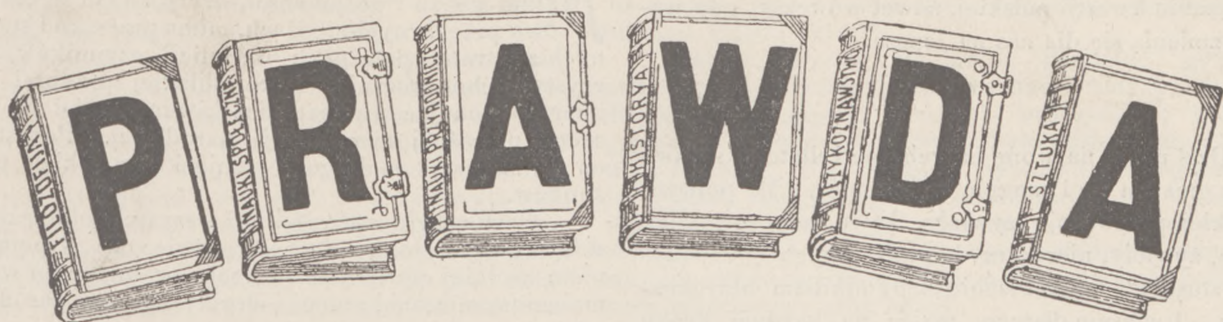
Nr. 30 (1540). Warszawa, 23 lipca 1910 r. **Rok XXX.**



TYGODNIK POLITYCZNY, SPOŁECZNY I LITERACKI.

Redakcja i Administracja **Rysia 3. Telefon 73-80.**

POLITYKA i ŻYCIE SPOŁECZNE.

Ku zgodzie.

Można oceniać bitwę pod Grunwaldem z dowolnych punktów widzenia; dla nas Grunwald był przedewszystkiem orężnym aktem współdziałania bratnich plemion, zrzeszonych w obliczu wroga. To przypomnienie brzmi boleśnie teraz, gdy po 500 latach, w obliczu tegoż wroga, nie stało na Błoniach Krakowskich ni Rusinów, ni Litwy.

Głęboka waśń rozdzieliła dawnych sojuszników. Nie wchodzimy, ile jest w tem ślepego fatalizmu, ile naszej własnej winy; nie ulega jednak wątpliwości, że nad wyraz ujemną odegrał tu rolę ów krzewiony na zimno nacjonalizm, który chciał „kolonizować Litwę", a Rusinom kazał „hartować się w ogniu ciężkiej walki" z nami — i każe dotychczas.

Ale czas już, czas zaprzestać! Piękniej i rozumniej uczcić Grunwaldu niepodobna, jak rzucając od nas dwa mosty ku zgodzie na Litwę i Ruś. Pokolenie, które dokona tego czynu, wymownie dowiedzie, że przestało być biernie powodowanem przez wypadki i namiętności, a natomiast samo powodować niemi potrafi. Stanie ono wyżej nad ciżbę uczuć i odruchów pierwotnych, miotaną sprzecznemi wichrami i głuchą na głos rozwagi. Politykę afektu zastąpi rozumem. Zastosowany do współżycia rozum powie nam, że ostatnie zajścia we Lwowie i antagonizm polsko-litewski, ujawniony w rocznicę Zwycięstwa — równają się najcięższej klęsce, która dziesiątkuje nasze siły i wrogom przysparza uciechy.

Powie nam jeszcze, że dojrzały naród, jak i jednostka, winien przemóc niekiedy falę uczuciowych impulsów, wzburzone nerwy uciszyć męską wolą. Dlatego też, jeśli pragniemy istotnie uczcić Grunwald nie tylko hukiem rakiet i łopotem chorągwi, ale granitem *czynu* któryby choć w części tamtemu odpowiadał — *pogódźmy się z Litwą i Rusią!*

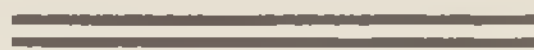
* * *

Ku tej zgodzie zrobiono już pierwszy krok. Na wiadomy akt goryczy i niechęci ze strony Litwinów odpowiedziano fundacją w Krakowie katedr języka, historji i literatury litewskiej. Piękna to i godna wielkiego narodu odpowiedź. Podobną dać należało we Lwowie, gdzie spiętrzyły się znów bałwany tuzinkowego nacjonalizmu, topiąc i zalewając warsztaty wspólnej pracy. Podczas gdy wodzowie stronnictw politycznych wykazali przy tej okazji zdumiewające ubóstwo ducha, lwowska młodzież postępowa śmiałą i szlachetną rezolucją toruje nowe drogi, wyrębując w gęstwi próchniejącej rutyny prostą linię polityki demokratycznej. *Ta młodzież uczy istotnie rozumu partyjnych weteranów* i pierwsi podchwytujemy jej hasło, będące oddawna naszym hasłem... Dość bratobójczych walk! niechaj Rusini mają swój uniwersytet rusiński obok naszego; zostawmy im troskę, panowie nacjonaliści, o dobór ciała profesorskiego: nie nasza to rzecz. Dotychczasowa taktyka stałego rygoru i niechętnych ustępstw wobec Rusinów jest fatalną metodą starczej, bezmyślnej rutyny, która do opłakanych prowadzi skutków. Niedość bowiem, że rzuca stronnictwa rusińskie w objęcia rosyjskiej i pruskiej hakaty, niedość, że dzikiemi burdami zakłóca i zatruwa życie jedynej autonomicznej dzielnicy ziem polskich — ale nadto ustawiczną i groźną tworzy przeszkodę na drodze ziszczenia naszych najgorętszych pragnień: *autonomji Królestwa Polskiego.* Jeszcze w r. 1907 tu, na tym miejscu, przewidywaliśmy, że taktyka „wszechpolska" wobec Rusinów stanie się głównym przeciw nam atutem w rękach naszych wrogów, przyjaciołom zaś naszym przysporzy niemało kłopotów. I dziś to samo mówimy i przestrzegamy: jeśli

nierozstrzygnięta kwestja polska stoi na zawadzie zjednoczeniu wszystkich słowian, to z kolei stwierdzić należy, że ustawiczne zatargi z Rusinami, które nam zaszczytu nie przynoszą, staną w poprzek racjonalnemu rozwiązaniu kwestji polskiej, nawet wówczas, gdy warunki zmienią się dla nas na lepsze.

* * *

Dziś nie są nam one przychylne i dlatego sprawa polska gmatwa się i zaognia bez końca. W polityce rosyjskiej przeważają żywioły, które niszczyć tylko umieją, żywioły, niezdolne do politycznych przewidywań i stosujące naokół siebie ślepy nihilizm biurokratyczny. I właśnie dlatego, mając na każdym kroku możność naocznej obserwacji strasznych spustoszeń, dokonanych przez ten system — winniśmy ze zdwojoną energją wypleniać z naszej własnej polityki wszelkie tego rodzaju chwasty i zielska, głuszące płodny zasiew. Dość już wyrządziła nam krzywdy i strat przesławna teorja „egoizmu narodowego", zatruwając umysły i serca jakąś zjadliwą miksturą napoły pruskiego, napoły mongolskiego ducha... Oby rocznica grunwaldzka położyła jej kres ostateczny! Oby zczezł nazawsze z naszych metod politycznych ów niedorzeczny przepis, który za krzywdy doznane od silniejszego wroga każe poszukiwać odwetu na żywiołach słabszych, specjalnie ich do tego celu urabiając na „wrogów wewnętrznych". *L'union fait la force* — głosi dewiza niewielkiej, ale żywotnej i potężnej kulturalnie Belgji; pamiętajmy tedy, że *współdziałanie* jest pierwszym i nieodzownym warunkiem zwycięztwa, pamiętajmy zwłaszcza, że bez współdziałania nie byłoby Grunwaldu!



Obchód grunwaldzki w Krakowie.

Mimo wahań i wątpliwości, wyrażanych w krańcowo przeciwnych obozach, mimo przeszkód stawianych ze strony potężnych w Galicji czynników, uroczysty obchód rocznicy grunwaldzkiej przybrał rozmiary imponujące i ponad oczekiwanie urósł do znaczenia poważnej manifestacji narodowej. Pozostanie on też napewno na długo w pamięci wszystkich uczestników.

Chwila była sprzyjająca i wszystkie okoliczności składały się na to, by obchód poświęcony wspomnieniom wielkiej chwili historycznej—promiennym wspomnieniom minionej potęgi i chwały naszego narodu — zdobył szeroką popularność.

Wprawdzie—„nic tak nie boli, jak chwile szczęścia wspominać w niedoli" — wprawdzie samo zestawienie dwuch takich dat jak 1410 i 1910 ma w sobie jakiś głęboki i przejmujący tragizm, bo jeśli już we wszystkich podręcznikach historycznych czytamy, że świetne grunwaldzkie zwycięztwo nie zostało i na razie należycie wyzyskane, to dziś po 500 latach wszystkie jego owoce polityczne zostały okropnie stracone. Nie można jednak niedoceniać pewnych trwałych dziejowych rezultatów, które i dziś dla wszystkich Polaków bez różnicy politycznych odcieni mają doniosłe znaczenie. Rok 1410 to nietylko chwila złamania wrogiej potęgi, która odrodziła się później w innej groźniejszej postaci, lecz data narodzin tej wielkiej Polski Jagiellońskiej, która nietylko zewnętrzną lecz wewnętrzną swą mocą, swą historyczną rolą, swą bogatą i bujną kulturą zajęła pierwszorzędne w Europie cywilizowanej stanowisko. Czem jesteśmy jako naród, staliśmy się dzięki owemu zwycięztwu, które dla wszystkich sił twórczych tkwiących w duszy polskiej otworzyło szeroką arenę działania.

Stary Kraków tak pełen pamiątek z owej słonecznej doby dziejowej sam przez się już stanowi wspaniałe tło dla obchodu poświęconego jej pamięci i gdyby nawet wszelkie względy polityczne usunąć na plan drugi, jako pomysł artystyczny grunwaldzkie święto w Krakowie mogło porywać wyobraźnię. A nie brakło przecież i politycznych momentów, potęgujących jego urok.

Wacław Grubiński.

JERZY.

Nowela nienagrodzona na konkursie *Tygodnika Illustrowanego.*

(Dokończenie).

Mówił podstępnie; bawił się dziewczyną, jak zabawką; miał ją w swojej mocy! trzymał ją w swoich rękach! ona musi zrobić to, co on rozkaże! jemu wszystko wolno! Śmiał się wewnętrznym śmiechem. Mógł ją lada chwila powalić na dywan, przygnieść jej piersi kolanem, zedrzeć z niej spódnicę! Wzbierały mu pod skurą muskuły lamparta, krew mu biła w sercu, był wesoły, wesoły, wesoły!

Weszli do pokoju ojca. W tem Jerzego przebił lubieżny dreszcz, jak szydło, aż do szpiku kości. Syknął niespodzianie dla samego siebie.

— Widzisz co tu złota!!

Zgarnął imperjały i sypnął je z góry na zielone sukno.

— Czekaj, włożę ci na szyję perły!

Chwycił żelazną szkatułkę i przeniósł ją z kasy na biurko. Uniósł cienkie wieko, wyjmował kolczyki, szpileczki, pierścienie, bransolety, kolje, sznury korali, pereł, złoty łańcuch...

Wanda się przelękła. Stała oniemiała, nie wiedząc co myśleć. — Ale gdy Jerzy jej podał potrójny sznur kraśnych, jak żywa krew, korali, wzięła je olśniona, szepcząc...

— Sliczne... śliczne...

— Rozepnij kaftanik! — świsnął zwichniętym głosem i dotknął łapczywie guzików kaftana.

Wanda się zastawiła ręką.

Z przyduszonego gardła wyjęknął:

— Leda...!

Wachlował chrapami. Drgały mu kipiącym pożądaniem ręce.

Nagle dziewczyna krzyknęła hulaszczo:

— Ostrożnie, paniczu! — Wino jej poszło do głowy. Smiała się z wyrostka, któremu gorąco zaczerwieniło spotniałe policzki.

Uśmiechnął się błędnie, zbliżył się do Wandy i wziął ją za łokieć.

— Dam ci te korale... — szepnął.

Smiała mu się w same usta i nie wyrywała rąk

Jakkolwiek z oficjalnej i nieoficjalnej strony akcentowano wielokrotnie, że obchód ten nie ma mieć antyniemieckiego charakteru, nie ma stanowić wyzwania w kierunku odrodzonego krzyżactwa, jakkolwiek nikt nie oponowałby słowom Paderewskiego, że „jest to dzieło miłości a nie nienawiści” — jest rzeczą zrozumiałą dla całej Europy i zupełnie usprawiedliwioną, że jednym z motywów psychicznych szerokiej popularności grunwaldzkiego święta był stan ciągłego, głębokiego choć tłumionego rozjątrzenia wszystkich serc polskich przeciw pruskiemu ciemiężtwu. Po prostu hakatyści wypielęgnowali ten nastrój, w którym sam wyraz „Grunwald” dźwięczy czarownie dla uszu polskich; to tkwi w nerwach, nie w mózgu. Niefortunny obrót zjazdu sofijskiego, który zamiast harmonji słowiańskiej ujawnił słowiańską kakofonję, nie pozostał może również bez wpływu na uświetnienie krakowskiej uroczystości, dość mozolnie zresztą wywalczonej i wytargowanej w każdym szczególe na świeckich i duchownych cesarsko-królewskich dygnitarzach. W końcu i to nadmienić należy. że ostatni kongres polski w Waszyngtonie rozbudził poczucie łączności duchowej wszystkich po szerokim świecie rozproszonych odłamów narodu i stąd to może napływ zaoceanowej Polonji był większy niż kiedykolwiek przy podobnych okazjach.

Kilkadziesiąt tysięcy gości napełniło świątecznym ruchem jagiellońską stolicę wspaniale udekorowaną w wieńce i flagi, a wieczorem oblaną olśniewającym światłem rzęsistej iluminacji. Mimowolne zabiegi kardynała Puzyny celem zeświecczenia obchodu zostały udaremnione przez lwowskiego biskupa Bandurskiego, który stał się kościelnym celebrantem rocznicy, jak prezydent Leo, a w znacznej wyższej mierze Ignacy Paderewski byli celebrantami świeckimi. Powiedzieć można, że na tle obchodu zarysowały się i zdobyły popularność pewne jednostki, na których skupiła się sympatja publiczna, niby na solowych rolach w zbiorowych scenach imponującego widowiska. Taką rolę bohatera chwili odegrał w pierwszym rzędzie artysta—obywatel — w drugim — dużo rzadszy jeszcze okaz, prawie unikat na obszarach byłej jagiellońskiej monarchji: biskup patryjota. Dzięki temu ostatniemu obchód grunwaldzki nie zdyskredytował całkowicie galicyjskiego klerykalnego obozu i kompromitacja jego została jakoby zlokalizowaną na osobie Puzyny, dziś już najbardziej znienawidzonej osobistości. „On by się tu nie śmiał pokazać” — mówił pobożny ludek krakowski, a tu i owdzie w czasie wielkiego pochodu niedzielnego słyszano okrzyki: „Precz z Puzyną”. Udział duchowieństwa w obchodzie był zresztą bardzo słaby i nie wydatny, co w pewnej mierze akcentowało i podkreślało wyjątkowe stanowisko biskupa Bandurskiego.

Nabożeństwo w Marjackim kościele i gorąco patryjotyczne kazanie okolicznościowe biskupa Bandurskiego stanowiło początek uroczystości, której „gwoździem” w dzień rocznicy było odsłonięcie pomnika Jagiełły. Plac Matejki, trybuny i przyległe części plantów zaległy nieprzejrzane tłumy, a wśród nich szpalerem przejściowym przesunęły się w malowniczym pochodzie, w historycznych, średniowiecznych strojach bractwa i korporacje ze sztandarami, podnosząc dekoracyjny urok chwili.

Przemówienia oficjalne marszałka Badeniego i prezydenta Leo brzmiały dość banalnie, co zresztą dla nikogo nie było niespodzianką. Ujmująco prosta, serdeczna nuta brzmiała w któtkiej przemowie Paderewskiego, który z właściwym sobie taktem jako ofiarodawca przemawiał w liczbie mnogiej, to jest w imieniu własnym i twórcy pomnika, rzeźbiarza Wiwulskiego, przedstawiając go zgromadzonym tłumom. Dwaj Polacy artyści ofiarowali „Praojcom na chwałę—braciom na otuchę” dar iście królewski, pomnik imponujący rozmiarami, ogólną linją architektoniczną, rozmachem młodego i śmiałego porywu, piękny w pomyśle, choć — niestety — nie pozbawiony dość uderzających wad w rysunku. Konny posąg Jagiełły stoi na wzniesionym cokolwiek ku przodowi granitowym wzgórzu. Postać Jagiełły trochę zbyt mała w stosunku do zbyt wyolbrzymionej i ciężkiej postaci konia jest skutkiem tego nie dość widoczna; stanowi jednak najlepszą w ruchu i wyrazie część pomnika. Jest to istotnie postawa zwycięzcy uniesionego tryumfem, postać trochę dzika jeszcze, ale nie pozbawiona powagi i majestatu.

Ponieważ figury pomnika nie są jeszcze wykonane z bronzu, lecz tymczasowo w gipsie odlane, artysta sam uznał pewne braki, które w ostatatecznym wykonaniu usunąć zamierza. Wówczas kompetentna krytyka zajmie się zapewne fachowym rozbiorem wad i zalet dzieła i orzeknie, czy Paderewski dał krajowi tylko nowy pomnik, czy też zbogacił go jeszcze nową, z ukrycia wydobytą indywidualnością twórczą.

— Powieszę na szyi... rozepnę kaftanik... jesteś ładna... bardzo...!

Drżącemi palcami odpinał maleńkie guziczki pod szyją.

— Nie można... nie można... — mówiła śród śmiechu.

— To moje własne korale... ja ci darowuję... nikt nie będzie wiedział... Z czego ty się śmiejesz?

— A co powie pani?

— Na co?

— Na korale.

— Głupiaś! Roztwierają tę szkatułkę pięć razy do roku. A korale przecież ci się podobają... schowasz w kufrze głęboko...

— Nie chcę!

— Bierz! to moje, mówię ci że moje! Zrzuć całkiem tę bluzkę.

— Po co znowu bluzkę...?

— Będzie trochę chłodniej...—szarpnął za rękawy.

— To boli! paniczu!

Przestała się śmiać, ale jej zarużowiona twarz drgała resztkami śmiechu.

— Kręci mi się w głowie...

— Usiądź.

Siedli na kanapie.

— Poco mnie panicz rozpiął? — probowała się zapiąć... wstrzymał jej szorstką dłoń. Lulu spojrzała na chłopca i parsknęła śmiechem. Siedzieli przy sobie. Ujął ją mocno za marmurowe ramiona. Był zły, że się śmiała.

— Proszę mnie nie ściskać... powiem coś miłego... proszę puścić! Jurek!!

Z karminowych warg błysnęły ząbki i kaskada śmiechu znów się rozbiła w powietrzu, jak tysiączne bryzgi czarujących dźwięków.

— Zrzuć bluzkę... — poprosił.

— Niech panicz posłucha .. No! grzecznie! czy słyszy?! Ja panicza znam... panicz jest Jurek... codzień panicza widzę, gdy idzie do szkoły. — Otarła się włosami o pałającą twarz chłopca — Och, panicz nie wie... panicz mi się podoba! oddawna... oddawna! czarny jak ten węgiel! Jurek! panicz Jurek! Ja się też podobam?... Pytam się, czy się podobam! — zawołała głośno.

Nie był w stanie mówić — skinął tylko głową.

— Podobam...? To dobrze — mówiła zalotnie. Potem popatrzyła chłopcu z żarem w oczy i pochyliła się ku niemu.

— Och, mój śliczny Jurek! — rzekła w zachwyceniu.

Zanim ją przygarnął, cisnęła z rozmachem kraśne sznurki w kąt.

Festyny ludowe, Wianki na Wiśle na tle powszechnej iluminacji, przedstawienie Konrada Wallenroda w teatrze miejskim, wreszcie raut dziennikarski w salach starego teatru wypełniły pierwszy dzień narodowego święta.

Tu należy się wzmianka osobna teatrowi, któremu kazano czy pozwolono zlekceważyć zjazd grunwaldzki. Teatr krakowski ma dla kulturalnej publiczności polskiej siłę atrakcyjną tym większą od chwili, gdy go opromieniła, uświetniła i uwieczniła twórczość Wyspiańskiego. W dniach świeżo minionych gościł Kraków wielu takich rodaków, którzy w Krakowie bywają rzadko, takich co go dotąd nie widzieli lub nie ujrzą więcej. Czy godziło się na tę chwilę puścić na urlop całą pierwszorzędną trupę dramatyczną i poczęstować uczestników tak niepamiętnego zjazdu wyłącznie operą i to graną przez trupę przeważnie operetkową? „Konrad Wallenrod" był wprawdzie na tle grunwaldzkich tradycji bardzo odpowiednim widowiskiem co do treści ale nikłym choć dość poprawnym w wykonaniu.

Szczupły personel operowy, w scenach zbiorowych mianowicie, raził jakąś miniaturowością, raził tym więcej, że uczestnicy obchodu patrząc wciąż na sceny żywe porywające malowniczym efektem harmonijnego ruchu nieprzejrzanych mas z pewnym politowaniem musieli spoglądać na maleńkie kółko rycerzy w habitach zgromadzone przy dwuch małych stolikach, które miało wyobrażać „Ucztę" Konrada.

Porywających scen masowych mieliśmy niemało. Już same ćwiczenia sokolskie na olbrzymim boisku na błoniach, ćwiczenia zbiorowe kilkutysięcznego zastępu druhów czyniły nie dające się wprost opisać wrażenie potęgi połączonej z estetyczną harmonją i rytmem. Ćwiczenia te zgromadziły przedstawicieli zachodnio słowiańskiego sokolstwa, a każda z dzielnic Polski, nie wyłączając czwartej dzielnicy, Stanów Zjednoczonych, przysłała po kilkaset do tysiąca druhów liczące oddziały.

Kulminacyjnym punktem uroczystości i zarazem szczytem dekoracyjnego efektu, wreszcie wyrazem najwymowniejszym wspaniałej manifestacji był uroczysty pochód niedzielny od równiny rozścielonej u stóp mogiły Kościuszkowskiej na zamek Wawelski

Cudzoziemcy, którzy w charakterze dziennikarzy przyjechali na zjazd grunwaldzki,—zostali wprost olśnieni tą wspaniałą defiladą banderji chłopskich, drużyn sokolskich, włościan i górali w malowniczych strojach ludowych, straży ogniowych, korporacji, cechów, związków zawodowych, młodzieży szkolnej i akademickiej, przedstawicieli ciał naukowych, wreszcie rad miejskich Lwowa i Krakowa, które zamykały długą wielobarwną wstęgę, ciągnącą się od Błoni aż do Wawelskiego zamku. Skonstatowano, że gdy pierwsze grupy złożywszy wieńce na grobie króla zwycięzcy schodziły z zamkowego wzgórza, ostatnie wyruszały zaledwie ze zbornego punktu.

Uderzającym i niepozbawionym znaczenia był udział socjalistów w tym świątecznym orszaku, udział niespodziany dla publiczności, nieprzewidziany przez inicjatorów, lecz bez protestu i starcia przyjęty i uznany. Obie strony — przyznać to trzeba — okazały tu dużo taktu politycznego, dojrzałości i miary, jak gdyby chcąc wykazać poglądowo swoim i obcym, w jakich szerokich granicach mieści się żywiołowo powstająca a nienarzucona solidarność narodowa obok rozbieżności partyjnej i antagonizmu klasowego. Nawet teksty i melodję swego śpiewu dostroili „towarzysze" do tonu ogólnego i dziejowych reminiscencji, nie zaniedbując zaznaczyć swego klasowego stanowiska przez wybór takich pieśni, w których dawna demokracja polska wyrzucała „panom, magnatom, książętom, prałatom" wszystko to, co Polskę z 1410 doprowadziły do jej opłakanego położenia w 1910-ym.

Ani słowa — wszystko to, co było dekoracyjną manifestacją, poglądowym wyjaśnieniem znaczenia grunwaldzkiej rocznicy, imponującą rewją sił narodowych — wypadło wspaniale.

Inne wrażenie czynił tekst dorobiony do tej porywającej majestatycznej symfonji barw i ruchów.

Zakończenie obchodu stanowiła uczta wydana przez miasto dla prasy i gości, uczta z toastami tak przepełnionymi wzniosłością, entuzjazmem, patryjotyzmem, wiarą w siebie, w przyszłość kraju, wiarą podzielaną przez Anglików, Francuzów, Czechów i wszelkie nacje europejskie, że wytwarzała się w końcu jakaś niezdrowa halucynacja, że wszystko już powiedziane, a więc wszystko już zrobione, że wszystkie słowa stały się ciałem, a cały naród wyanielony, wyolbrzymiały tak się cieszy i tak miłuje wzajemnie, jak w tej oto jasnej i oświetlonej sali przy biesiadnym stole, przy toaście „Kochajmy się".

— Co mi tam korale!—zakrzyknęła bujnie, i zrywając się na równe nogi, jęła ściągać bluzkę.

— Ja chcę ciebie, Jurku, ciebie, nie korali! Zrzucę bluzkę, fartuch, spódnicę i wszystko! och ty chłopaku czarny! paniczu! dzieciaku! Rób, co chcesz, ze mną! dokazuj! och, bierz mnie! och, Jurek! och, luby... och, mój...!

Objęła stalowym ramieniem wyrostka i przegięła go swoim ciężarem tak, że się rozłożył krzyżem na kanapie; przylgnęła rozpalonemi ustami do nieumiejących jeszcze pocałować ust chłopięcych i sparli się, i zatrzasnęli się zaciekle.

. . . .

— Już pójdę.
— Nie, zostań.
— Późno!
— Niema drugiej. Twoi państwo śpią.
— Boję się. Może dzwonili.
— W nocy by dzwonili! poco?
— A czy ja wiem, poco? mogło się coś zdarzyć.
— Poczekaj do rana.
— Nie zgasiłam światła. I drzwi zostały otwarte. Pójdę, pójdę, puść mnie!
— Nie puszczę.
— Ach, Jurek!
— Nie puszczę! zostaniesz!
— Boli! łamiesz rękę!
— Poco się wyrywasz.
— Jurek... już nie mogę... jestem zmęczona... ja się boję... Jurek...
— Nie podnoś się. Ja bym bez ciebie teraz nie wytrzymał!
— Skąd ty bierzesz siły?!
— Zarzuć mi ręce na szyję... przyciśnij...
— Ach, jej! Jurek, Jurek! Ach, co ty wyprawiasz!

. . . .
. . . .

— Już teraz pójdę. Bije trzecia. Pomóż mi wstać.

Jerzy się uniósł na łóżku i podkutymi oczyma patrzył na obezwładnioną wyczerpaniem, różową od wzruszeń dziewczynę. Milczał. I ona milczała. Wreszcie rzekła cicho —

— Chce mi się spać... szalenie... — i opuściła powieki.

Jerzy patrzył, patrzył... Zasnęła mu w oczach.

Nie był wcale zmęczony i ani trochę senny; czuł tylko w sobie spokój.

Od kryształowej rozety z sufitu płynęło na pokój zmatowane światło, a z nim, zdawało się, że płynie cisza.

Dziewczyna leżała nawznak; rozdarte ramiączko

Wystawa Japońsko Angielska w Londynie

I.

W ciągu nowego okresu swej historji Japonja niejednokrotnie już występowała przed cudzoziemcami na wystawach powszechnych; przypomnijmy chociażby ostatnie wystawy w Chicago 1893 r., w Paryżu w 1900 i w S. Lonis w 1904. Lecz nigdy dotychczas kraj wschodzącego słońca nie był przedstawiony równie bogato, tak liczbą eksporatów, jak i jakością ich, rzadkością pokazanych ku zdumieniu Europy zdobyczy kulturalnych. Ani razu też rząd japoński nie brał tak czynnego udziału w urządzeniu wystawy, jak obecnie; nie dokładał tylu starań aby zainteresować przemysłowców, nie uzyskał od parlamentu, tak pokaźnej sumy koło 2,000,000 yen, czyli rubli na subsydja i na sporządzenie oddziałów rządowych.

Bezwątpienia rząd zwycięzkiego narodu rozumiał swą sytuację — obecną dość trudną i zawikłaną — pchając zapomocą różnych środków zmęczoną nieco wystawami swą burżuazję [1]) miał na widoku tylko cel ożywienia stosunków handlowych z Anglją, stale podkreślany i omawiany, lecz dążył jednocześnie do tego, aby Anglję poznajomić poglądowo z całym bogactwem kraju i pięknymi jego wyrobami. To zbliżenie obu narodów posiada wielką doniosłość dla Japonji, przeżywającej od czasu przeraźliwych wydatków na dwie krwawe wojny (z Chinami w 1894 — 5 i z Rosją w 1904 — 5 r.) ciężki kryzys ekonomiczny.

Politycznie Japonji zagraża niebezpieczne izolowanie, gdyż wobec polityki w Mandżurji i Korei jest wątpliwym odnowienie sojuszu z Anglją; stosunki z Ameryką od kilku lat stały się bardzo napięte, z Chinami nieokreślone i niepewne jutra. Nie dziw więc, że Japonja rzuca się na wsze strony szukając sprzymierzeńców i to umizga się do Austrji i Niemiec, to robi wszystko co może, by zyskać zaufanie starego tradycyjnego nieprzyjaciela z północy i zawrzeć z nim nawet alljans braterski, starając się jednocześnie wciągnąć do niego chociażby Turcję. Nie ma też najmniejszej chęci rozstawać się wrogo z potężnym lwem brytańskim.

Lecz groźba straszniejsza, bo niepokonana i wszechstronna powstała na Dalekim Wschodzie i chociaż nie ujawnia swego działania obecnie, niemniej rośnie i napawa przestrachem nietylko samą Japonję. Tą groźbą jest rozwój handlowo-przemysłowy budzących się i odradzających Chin. Każdy kto choć trochę zna uparty charakter wytrwałych i pracowitych Chińczyków, kto wie jak w obecnej dobie dźwiga się wśród tego najliczniejszego narodu duma narodowa, chęć dorównania we wszystkim Japończykom i Europie, ten rozumie, że przygotowuje się przewrót w stosunkach ekonomicznych, przewrót silny i tymczasowo niemożliwy zgoła do obliczenia. Nastąpi on wówczas, gdy Chiny dostatecznie się oswoją z technicznymi zastosowaniami wiedzy europejskiej. Rynek bogaty i największy na świecie, o który ubiegają się kapitaliści obydwóch półkul ziemi, zamknie się i ucierpią przedewszystkim najbliżsi sąsiedzi Japończycy dostarczający teraz Chinom sporo swej tandety, naśladującej europejskie i amerykańskie towary.

Nie dziw więc, że Japonja zawczasu sposobi się do tej przykrej dla siebie chwili i stwarza dla się nową klientelę gdzie się tylko da: w Siamie, w Turcji, w Syberji, Południowej Ameryce, Kanadzie. Równocześnie bada, poznaje rynki Europy i Północnych Stanów Ameryki Zauważono, że pomimo ścisłego przymierza z Anglją i zupełnej tu swobody handlu w wóz towarów japońskich do tego najbogatszego kraju jest bardzo nieznaczny: (na 25 miljonów yen, wówczas gdy ogólny import do Anglji dochodzi do 6,500 miljonów yen.).

Nawet Francja sprowadza sobie o całe 10 miljonów więcej niż Anglja „japońszczyzny". A trzeba przyjąć pod uwagę, iż angielskie bogate domy handlowe sprowadzają wyroby japońskie nietylko dla miejscowych zapotrzebowań, lecz i dla całej prawie środkowej Europy.

Właśnie jedno z ważnych zadań wystawy polega na tym, aby kupców japońskich uwolnić od owych cu-

[1]) W 1903 r. była wielka wystawa w Osaka, w 1906 — w Tokjo. Od marca r. b. w ciągu 3 miesięcy trwała ogromna wystawa w mieście Nagoya, w 300 setną rocznicę założenia tego bogatego dziś miasta. W marcu również otworzono obszerną wystawę w Fuknoka — stolicy południowej wyspy Kin — Sin. Mniejsze wystawy w Japonji, Korei, Mandżurji pomijam.

---

jej skromnej koszuli zwisło i odsłoniło niemal do biodra lewą stronę ciała; wypukłą pierś podnosił oddech... Jerzy ruszył stopą i z łóżka, szemrząc, spadła na posadzkę atłasowa kołdra. W chwili obnażania nogi śpiącej drgnęły. Wyrostek pociągnął spokojnym spojrzeniem po posągowym kształcie tych dwojga mocnych rozsuniętych nóg, i na błyskawiczną myśl, że je posiadał, że je aż do wyczerpania jarzmił, uczuł nagle coś w rodzaju dumy.

Skierował wzrok na twarz dziewczyny. Poczochrane włosy, odgarnięte z czoła, rozpostarły się w nieładzie na batystowej poduszce. Jedna płowa fala biegła lśniącym kręgiem pod odkryte ramię. Zgrzana rozkoszą dziewczyna rozchyliła usta, które tryskały aż ciemną czerwienią. Od czarnych wygiętych rzęs szły szerokie cienie pod zamknięte oczy, a nad powiekami, na białości czoła jak na niebieskim sklepieniu, sunęły dwie duże brwi jak dwie chmurki, mając swe odbicie jeziorowe w dwóch granatowych sińcach pod rzęsami.

Jerzy się długo przyglądał uśpionej. Patrzył obojętnie, spokojnie, bez ruchu. Lecz w miarę patrzenia, poczucie nieograniczonej władzy nad leżącą, rosło w chłopcu jak powódź. W źrenicach wyrostka zabłysnęły iskry. Wpił się czarnemi ślepiami, niby ostrzem szponów, w ciało oddające żarem. To upojone szczęściem, piękne, żywe ciało należy do niego! te wiolonczelowe biodra... ta perłowa szyja... ta pierś, która się wznosi! — Trzasnął szczękami, jak rozbestwiony wilk, któremu mrowie żarłoczności zbiegło krwawe dziąsła.— Ta dziewczyna jest jego! Może ją rozszarpać! Może ją rozdeptać! Jemu wolno wszystko! wszystko bezgranicznie! Ta ludzka istota, posiadająca własne, własne życie, należy do niego! Bo nad nim niema pana! On jest sam! jedyny! i oprócz niego niema nic, nic, nigdzie! — W oczach miał pożary. Skulił się, jak dziki zwierz; wtem się rozprężył, i przypadł palcami zakrzywionemi jak żelazne cęgi, do gardła dziewczyny. Rozległ się drapieżny krzyk! Palce się zamknęły, jak zażarte kły. Pod ciężarem chłopca gwałtownie się wspięło krzepkie ciało dziewki. Przygniatał je sobą, lecz ono, spłaszczone, natychmiast wstawało, i uderzało Jerzego od spodu, niby wielka pięść, poczem się wiło wężowo, by uciec. Dziewczyna szarpała duszące ją dłonie, lecz Jerzy nie puszczał; trzymał pochwyconą szyję w kurczowym uścisku; pchał pąsową twarz z wysadzonemi oczyma nadół i przed siebie; zsunął ją z krawędzi łóżka; wtedy — (gdy głowa dziewczyny straciła oparcie) — z jednej dłoni chłopca wyślizgnęło się dławione gardło. Usłyszał żężenie. Przez pół zwieszona Wanda chwyciła za stolik okuty bronzami, marmurowy z wierzchu, i pociągnęła się ku

dzoziemskich pośredników, dać im możność ująć handel w swoje ręce, oraz zawiązać bezpośrednie stosunki z drobnymi kupcami Anglji i Europy. Kierownicy tej akcji są pewni, że handel japoński wstąpił wreszcie na nową drogę w swym rozwoju historycznym, że obecnie już zasługuje na zaufanie, i jest godzien innej opinji, niż ta, bardzo niepochlebnie świadcząca o sumienności i rzetelności kupieckiej, Japończyków która się w ciągu wieków utrwaliła śród Chińczyków, Europejczyków i nawet wśród własnych rodaków. Czy rzeczywiście walka systematyczna publicystów i rządu ze szkaradną wadą niegdyś upośledzonej a dziś niemal przodującej klasy społecznej, osiągnęła poważne rezultaty; czy zasady etyki handlowej wykładane w szkołach przeniknęły do młodszej gieneracji kupieckiej, pokaże zapewne najbliższa przyszłość. Zobaczymy też, czy dopną swego ruchliwi, drobni i żwawi przedstawiciele kupiectwa japońskiego, których pełno na wystawie, w mieście na ulicach i restauracjach, w wagonach tramwajach i na statkach odpływających do Belgji, Francji i Ameryki wielu znich ma przy sobie próbki towarów. Zagabnięci chętnie i długo rozmawiają zapominając o ciężkim dla Europejczyka w Japonji przepisie narodowej etykiety nadętego milczenia. Łamaną przeważnie angielszczyzną rozpytują o miasta Europy, o warunki bytu, o stosunki handlowe. Gdy dojdzie rozmowa do traktatu z Rosją, mającego wkrótce być ogłoszonym [2]) i prawdopodobnego aljansu z nią, jakiś cień smutku przebiega po nie zbyt wyrazistych spiżowych ich twarzach. Rychło jednak powraca zwykła spokojna japońska rezygnacja, pod którą odgaduje się niewypowiedziane „szikataga nai”, [3]) i uspakajający pogląd: „rząd nasz jest rozsądny i sprawiedliwy, wie co robi i zawsze działa na korzyść drogiej dla nas wszystkich ojczyzny”.

B. Piłsudzki.

---

[2]) Układ ów ogłoszony już został (p. Nr. 29 *Prawdy* w zeszłym tygodniu. (przyp. Red.)

[3]) Cóż robić — nie ma rady!

NA DOBIE.

Komtur krzyżacki na Wawelu.

Zakon rycerzy krzyżowych — powiada prof. Balzer — to jedno z najosobliwszych zjawisk w historji ludzkości, dzieło, oparte na obłudzie i fałszu, na zasadniczej sprzeczności między teoretycznym zadaniem, a praktycznym czynem. Pod suknią duchowną krył krzyżak duszę zawodowego łupieżcy. Nigdy pozorny ascetyzm nie kojarzył się z dzikszem rozpasaniem. Ci „szerzyciele wiary świętej” byli w gruncie rzeczy bandą bezbożnych rabusiów.“ Lecz osłaniali się tak umiejętnie znakiem krzyża i cywilizacji, że cała chrześciańska Europa chętny niosła im sukurs, a papieże i cesarze niemieccy darzyli ich protekcją. I trzeba było ze strony Jagiełły niezmiernego wysiłku, aby zetrzeć w proch te kamienne złomy przebiegłej pychy krzyżackiej... Dziś piętrzy się ona po dawnemu. Gorzej jeszcze: oto rządzi na Wawelu w wieku XX-ym autentyczny komtur krzyżacki, zwany księciem Puzyną... Patronują mu — jak dawniej — papież i cesarz niemiecki, a chrześcijańska Europa chętny niesie sukurs. Węzły bliskiego powinowactwa łączą go z kardynałem niemieckim Koppem, a kiedy w r. 1903-ym na rzymskim *conclave* kard. Rampolla sięgał już po tjarę papieską — krakowski krzyżak, na skinienie Berlina i Wiednia, wytrącił mu ją z ręki. A Rampolla był kandydatem Francji, druhem Polaków, wrogiem Niemiec...

Wielki komtur Puzyna zwraca w stronę Berlina twarz uprzejmą, a dla rodaków ma surowe wejrzenie władcy. I prócz garści młodzieży, u stóp krzyżaka ściele się cały kraj wiernopoddańczy. Na gniewny głos kardynała wstrzymano u bram Wawelu trumnę z prochami wieszcza. Zaszumiał lud na klęczkach szmerem bolesnym, ale zuchwały krzyżak podniósł głowę — i zmilkły szmery nieśmiałe.

Nadeszły dni grunwaldzkie. Wielki komtur zżymał się gniewnie w pałacu zamkniętym na trzy spusty. Grunwald! Ha! Pogańskie święto! Toć w r. 1410 szły za Witoldem niechrześcijańskie hufce, bijąc w krzyże zakonne na piersiach Teutonów, a obok walczył heretyk czeski Jan Żyżka, a potem, po zwycięztwie, inny kacerz, Jan Huss, własnoręcznym listem królowi polskiemu winszował. A Rzym rzucił klątwę

---

niemu. Stolik zachybotał, a dziewczyna spadla głową na posadzkę, taszcząc za sobą Jerzego.

Puścił ją, padając. Lecz ledwie się dotknął łokciami posadzki, zerwał się na równe nogi, aby znowu runąć na ogłuszoną dziewczynę. I śród zaczętego rzutu się zatrzymał.

Ona leżała krztusząc się i wyginając. Probowała wstać i nie umiała znaleźć równowagi.

Wstała. Rozdygotaną rękę wsparła o odsunięty stolik. Szyję miała w śińcach. Potrząsała głową i pojękiwała, jakby poszarpanym wewnątrz, gardłem. Kołowała nieprzytomnym wzrokiem, który z przerażeniem zatrzymywał się na chłopcu. Jerzy poprawił na sobie koszulę, zadużą, ojcowską, i rzekł do dziewczyny przytłumionym głosem:

— Ja cię mogę zabić.

Ona się zatrzęsła.

— Mogę z tobą zrobić, co tylko zapragnę.

Dziewczyna słuchała... Zakrwawione białka wlepiła w wyrostka... zbladła. Jerzy przed nią stał, jak wąż, i jak ogromny wąż przejmował ją nieopisanym, tajemniczym strachem. Bezdźwięcznie szepnęła niedołężne słowo, potem jej zwiotczały nogi... zamknęła nabrzmiałe oczy... zemdlała.

Jerzy się nad nią pochylił. A gdy nie dawała znaku życia, ukląkł. Wziął ją za okrągłe ramię; poruszył; zaszarpał! Leżała, jak kłoda.

Zawołał:

— Wstań!

Leżała. Palcem otworzył jej jedną powiekę. Kiedy palec odjął, powieka pomału jęła się zamykać. Przysunął wargi do drobnego uszka i krzyknął:

— Słuchaj! Jesteś w mojej mocy!

Ona nie słyszała.

Dłoniami nacisnął dwie wypukłe piersi.

— Ja ci każę wstać! rozumiesz?! Ja chcę, żebyś wstała!

Ale dziewczyna leżała bez ruchu. W chłopcu zakipiało.

— Ja chcę!! — ryknął wściekle.

Porwał się spieniony z kolan i potoczył w koło gorejącym wzrokiem. Znów gwałtownie ukląkł, wziął dziewkę za gardło i zaryczał:

— Wstań już! słuchaj, co ja mówię! usłysz, co ja mówię! Ja *chcę* żebyś mnie słyszała! Usłysz! ja ci każę!!

Ale dziewczyna leżała, jak trup.

Oszalały Jerzy zerwał się powtórnie z kolan i odbiegł pod ścianę, rozglądając się na wszystkie strony. Szukał jakby rady na niewidzialnego djabła bezsilnoś-

na Polaków, którą cofnął po usilnych dopiero staraniach...

Otrząsnął się Puzyna z niemiłych wspomnień. Stanął u okna. Miasto gorzało od świateł, grzmiało od fanfar weselnych.

— Gdyby to wszystko rozpędzić — myślał posępny komtur, patrząc na festyny i tłumy. A lud krakowski czuł niejasno, że pałac biskupi wznosi się ciemny, samotny i wrogi w tym dniu promiennym. I po raz pierwszy może, na tle rozgorzałego miasta, zarysowała się wyraźnie, dobitnie, jaskrawo postać dominującego nad nim krzyżaka. Tysiąc serc odczuło tego dnia, żeśmy Polacy duchowo niesamoistni i podbici, że mowy być nie może o politycznym odrodzeniu, dokąd stopa krzyżacka opiera się nam na piersi, dokąd Rzym i Berlin rządzą tu cichemi podszepty i głośnym rozkazem, dokąd *Wawel — nie nasz...* I znów, jak przed 500 laty, olbrzymich trzeba będzie wysileń, cudów, karności i poświęceń, aby obalić przemoc, obłudnie płaszczem zakonnym okrytą.

„Wiry" czyli samobójstwo H. Sienkiewicza

Desperat, chcący przeciąć nić swego żywota, szuka zazwyczaj nagłej i lekkiej śmierci. Słynny nasz belletrysta obrał nie najlżejszą śmierć — przez *ośmieszenie.* Jak się to stało — wyłuszczył w poprzednim numerze W. Rzymowski; by jednak czytelnik na własne oczy przekonać się mógł o wypadku — oto *corpus delicti* w postaci aforyzmów i zdań apodyktycznych, którymi autor poderżnął sobie gardło...

Wstrzymuję pióro w pół drogi — w imię niewygasłego pietyzmu dla wielkiego artysty, któremu każdy z nas zawdzięcza chwile cudownych przeżyć... Ale nie! Sienkiewicz sam zgasił nad swą głową aureolę czystej sztuki; obecnie staje przeciw nam, jako szermierz-polemista, bezwzględny i ciasny, który wszak *nietolerancję przekonań,* jako hasło, postawił nieomal że na czele swojej książki. *Tu l'as voulu, Georges Dandin!*

Otwieramy tom I i czytamy na str. 70 co następuje: „według mego zdania, tolerancja w Polsce nie była i nie jest czym innym, jak tylko safandulstwem— i to dzie owym safandulstwem".

Mówi to Groński, główny rezoner powieści, ale poprzednio jeszcze (str. 46) autor taką czyni — od siebie — uwagę: „przekonania jego (Laskowicza) nie były już dla nikogo w Jastrzębiu tajemnicą, ale tolerowano go jednak z tą całą nieopatrzną pobłażliwością, do jakiej tylko szlachta polska jest zdolna, w myśl zasady, że i „największy radykał musi jeść".

Autor pośrednio utrzymuje, że „jeść musi" tylko konserwatysta. A zauważmy, że Laskowicz jest studentem, wydalonym z uniwersytetu i żyjącym z lekcji.

Następuje szereg refleksji ogólnych zgodnie z „tezą" powieści; a więc na str. 83 dowiadujemy się, że: „faktycznie pojęcia religijne wytworzył dopiero organizm wyższy i doskonalszy, a stąd wniosek, że gdyby istniały jakieś istoty dziesięć razy inteligientniejsze od człowieka, byłyby dziesięć razy na swój sposób religijniejsze" (z rozmyślań Grońskiego). Tedy murzyn, obwieszany amuletami i czczący fetyszów góruje nad bezbożnym Darwinem lub Haecklem.

Idźmy dalej. Na str. 107 Groński rozmyśla o Krzyckim: „Ten nie czytał zapewne Nietschego, a jednak w jego żyłach płynie razem z krwią jakieś szlacheckie nadczłowieczeństwo. Gdyby mu ktoś uwiódł jego siostrę, strzeliłby mu w łeb, jak psu, ale ponieważ chodzi o wiejską dziewczynę, więc się ani zatroska". Autor w roztargnieniu przybrał zwykłą *hotentocką etykę* w szaty „nadczłowieczeństwa" w dodatku „szlacheckiego". Sądzę, że Sienkiewicz wyszedł na tej pomyłce gorzej od... Nietschego.

Wkraczamy na tory krytyki socjalizmu. Niezmordowany Groński sądzi, że „obecnie mamy powódź i to bardzo groźną, która może zatopić nietylko fabryki, miasta i kraje, lecz nawet cywilizację... Grozi to przedewszystkim Francji, gdzie dobrobyt i pieniądz wyrugowały wszelkie inne idee. .

Pokazuje się, że zbytnie bogactwo może być narodowym niebezpieczeństwem".

Taką socjologję *pour un sou* kolportują w Paryżu wsteczne świstki bulwarowe. U nas biorą to na serjo... luminarze.

A oto historjozofja — z tej samej beczki:

„Co naprawdę zgubiło politycznie Polskę i co gubi obecnie Francję, która w naszych oczach rozsypuje się, jak beczka bez obręczy? Czy nie ukochanie większe wolności, niż ojczyzny?" (Z rozmyślań Grońskiego, str. 131). A na stronicy 178 p. Krzycki, szlachecki nadczłowiek a przytym „prawdziwy ułan z pod Samo-Sierry" wsiadł ostro na Laskowicza: „żeby taki pawian (student polski)... śmiał podnieść oczy w na-

---

ci. Czepiał się oczami ścian, sufitu, sprzętów... nagle znalazł radę!

Poskoczył do biurka, zgarnął rozsypane złoto, i trzymając je w ściśniętej pięści, stanął jednym susem nad nieprzytomną dziewczyną. Wyszczerzył zęby w uśmiechu wściekłości... podniósł garść wysoko i ze wszystkiej siły uderzył omdlałą złotem po zsiniałej twarzy. I patrzył.

Wandą wstrząsnął dreszcz. Głucho jęknęła gardlanym zgrzytem. Jerzy się nieznacznie cofnął... przejął go wewnętrzny chłód... przefrunęła mu po włosach zimna iskra lęku.

Dziewczyna zamilkła, zgięła się i tak stężała. Wówczas, w coraz wzrastającym przerażeniu, Jerzy rozpaczliwie krzyknął:

— Wstań! — i urwał chrypą.

Lodowaciejący pot niepojętego strachu zlewał chłopcu plecy. Rozszerzonemi oczami widział wokoło jaskrawiej, widział nawet te przedmioty, na które nie patrzył. Patrzył tylko w Wandę. Ona, jak gdyby na rozkaz, jęła zwolna wznosić nieprzytomną głowę... przewinęła się na drugi bok... ręce, które dygotały jak złamane skrzydła jeszcze żyjącego ptaka, wsparła o posadzkę, podźwignęła się omdlewająca i zaczęła wstawać chwiejnie i pomału, tyłem obrucona do wyrostka.

Jerzy znów się cofnął... doszedł aż do drzwi.

Dziewczyna stanęła. Skrzypiący wzdech wydobył się z jej piersi. Słaniała się, wczepiona rozedrganemi palcami w rzeźbione wzniesienie łóżka. Spadła z niej koszula... Spojrzała na chłopca, nie spostrzegając go zatumanionym wzrokiem. Ale Jerzego ten obłędny wzrok sięgnął po mózgu maczugą. Chłopiec podskoczył, jak na rozpalonej kracie, i, przycisnąwszy się do ściany, zawył:

— Ja mogę wszystko! słyszysz?! mogę wszystko! — zgrzytnął mocnemi zębami — Mogę cię stratować! mogę cię porąbać! mogę... słyszysz?! słyszysz?!

Stał przy samych drzwiach i wtłaczał się i wcierał się plecami w ścianę.

— Jeżeli ja zechcę, zginiesz! — machnął pięścią — zrobię z tobą wszystko! zemnę cię, jak papier! stój tam! ani kroku! stój tam, słyszysz?! słyszysz?! — oddech mu świstał w gardle — Gdy ja tego zechcę, przemienię cię... w ptaka! rozumiesz? w łabędzia! we wszystko! we wszystko! Ja mam straszną władzę! mnie wolno wszystko! Ach, stój! rozkazuję! nie właź mi do rąk, bo... bo ja każę! bądź ostrożna! nie idź!! ach stój, stój, ach nie idź! Czy ty nie słyszysz?! Czy ty się nie boisz?!

Naga dziewczyna puściła oparcie i szła ku drzwiom niepewnie. Nie rozumiała, co krzyczał wyrostek — chciała tylko uciec.

szym domu na naszą krewną i jeszcze do niej pisać, to uważam poprostu za obelgę dla nas, której mu nie daruję." Autor podziela pogardę dzielnego „ułana" dla kanalji demokratycznej; to też w kulminacyjnym punkcie powieści (tom II str. 286) zjawia się na scenie *lud polski*, odmalowany z całym przepychem barw, zapożyczonych od p. Jeske-Choińskiego, który jest jeszcze lepszym od Sienkiewicza szlachcicem: „Rozczochrane kobiety, plugawe wyrostki z piętnami zbrodni na zwyrodniałych rysach i wszelkiego rodzaju obszarpańcy o pijackich twarzach rzucili się na meble, dywany, kotary i na wszystko, co im popadło w ręce. W mieszkaniu zapanowała orgja zniszczenia. Pokoje napełniły się czadem potu i wódki. Motłoch szalał, łamał, rozbijał, kradł..." Słowem, lud warszawski poczyna sobie, jak *rizuny* i *mołojcy* Chmielnickiego. Bodaj to fantazja poetycka!

A morał? Ostatnie napomnienie wkłada autor, gwoli większego efektu, w usta cynika Swidwickiego, trochę ni przypiął, ni przyłatał: „oświata bez religji wyhoduje tylko złodziei i bandytów" (str. 298).

Złóżmy bilans: tolerancja—szkodliwa, wolność—wyklęta, równość — sponiewierana, robotnik polski dostał na twarz maskę małpoluda, a pleban z Psiej Wólki na ostatniej karcie krzyczy do narodu: „raczej nic, jak szkoła bezwyznaniowa!" i to wówczas, kiedy liczymy 80% analfabetów, coprawda religijnie nastrojonych...

Spodziewać się trzeba, że w utworze następnym zaleci nam mistrz *antropofagję*—dla pokrzepienia serc.

Sprawa rożyska.

W numerze 27 naszego pisma podaliśmy w stosownym oświetleniu tragiczny przebieg pewnego polowania na lisy w puszczach rożyskich, w którego rezultacie skazano na 8 lat katorgi 74-letniego starca za rzekomą *obrazę religji.*

Rzecz dziwna — prasa klerykalna, snadź zajęta wojną z królem hiszpańskim, pominęła milczeniem straszliwą, śmiertelną krzywdę wyrządzoną Bogu ducha winnemu starcowi — w imię religji.

W imię religji! Ileż to razy najsrożej, najzuchwalej obrażają i bezczeszczą religję ci właśnie, co się mienią jej sługami! Wszak to pewien gorliwy katolik umieścił w r. z. na łamach *Gazety Warszawskiej* opis procesji marjawickiej, który odznaczał się tak obelżywym tonem, tchnął tak bezczelnym naigrawaniu się z uczuć religijnych — że my, wolni myśliciele, nie mogliśmy czytać tych zjadliwych słów bez wstrętu i oburzenia. A pozatym — wszakże nieraz widziano zgraje wyrostków — owoc księżej tresury—goniące po ulicach szary habit „kozłowity" urągliwym beczeniem. Widziano broszury, wydane przez księży i konfiskowane *za obrazę religji...*

Taką właśnie przez fanatyków religijnych popełnioną śmiertelną obrazą religji jest znany wyrok w sprawie rożyskiej. Wśród ogólnego milczenia naszych przysięgłych kalchasów, ozwał się tylko *jeden gromki głos oburzenia i protestu.*

Utalentowany redaktor *Wolnego Słowa* wydał ostatnio, w formie nadzwyczajnego dodatku, list otwarty *„Do Jego Eskcelencji Prezesa Rady Ministrów"*, wraz z rosyjskim przekładem, ujętym w osobną broszurę.

List sam przez się zasługuje na uwagę jako dzieło szczerego zapału. Ale wartość jego istotna polega na szlachetnym, zgodnym z ideą postępu i myśli wolnej, stanowisku w obliczu jątrzonych aż do wścieklizny walk wyznaniowych. kiedy spienione fanatyzmy dźgają się wzajem zbójeckimi nożami i walą na siebie złomy ciężkich jak młyńskie koła oskarżeń i wyroków... My, wolni myśliciele, o tysiąc lat wyprzedzamy te metody sporów, cechujące okres bytu jaskiniowego. I ta właśnie nasza wyższość pozwala nam dostrzedz bezmiar dokonywanych w szale zatargu krzywd, podnosić i wspomagać ofiary, rażone rzucanymi na ślepo ciosami.

Leo Belmont, ujmując się za pokrzywdzonym przez czarnosecinnych popów katolikiem, czyniąc to w sposób szlachetny, piękny i śmiały — przysłużył się polskiej myśli postępowej, zapisując się nadto chlubnie na kartach publicystyki, zbyt często, niestety, do niegodnych celów używanej.

L. G.

Gdy się zbliżyła do Jurka, ten zadygotał febrycznie; gdy postąpiła jeszcze krok, i drugi spłaszczył się na ścianie, jak kartka bibuły; zrobiła półkolisty ruch do wyjścia... Jerzy się rozprężył, odwinął ramię i z potęgą strachu uderzył Wandę po skroni.

Runęła, jak pień, ze stukotem.

Jerzy wyskoczył na środek pokoju, zatańczył obłędnie, przytupnął i zastygł. Zamarł na miejscu. I znów się obudził. Strach go ogarnął jak pożar...

— Ja mogę wszystko!—krzyknął nieprzytomnie.

Chciał wybiec z sypialni. Ale na progu leżała dziewczyna; nie śmiał jej przestąpić. Pociemniałą twarzą patrzyła do góry; rozdziawione wargi odsłoniły zęby; szyję miała czarną; dwie niewielkie piersi sterczały w dwie strony, jak rożki ślimaka... ręce rozpostarła.

Jerzy pobiegł za kwiaty. Z pomiędzy nich spojrzał, czy się Wanda rusza. Czuł, że mu na głowie wstają i pęcznieją włosy. Rzucił się do okna i błyskawicznie je otworzył. Oberwał roletę.

Na cichym podwórzu stróżował mrok. Jerzy się wychylił... Owiał go chłód wiosennej nocy. Chłód, niosący ulgę. Z milczącego mroku szedł na chłopca spokój. Ale za plecami.!. w pokoju... śród światła... zaraz za plecami.!. Czy ona leży?!.. może się podnosi! — Jerzy spazmatycznie wykręcił się ciałem i, z szybkością myśli, wzrokiem przeleciał przez pokój.

Gdzie ona jest? jej niema? Niema?! — Chłopiec wytrzeszczył oczy — Ach, nie, ona jest! leży we drzwiach, jak trup! Ruszyła ręką! Nie, nie, leży... leży... Och, żeby stąd poszła! Znów ruszyła ręką Ona pełznie! pełznie! pod okno! ach Boże!

Jerzy się palcami wpił w futrynę okna i stał z zapartym oddechem. Widział poruszenia rozpostartych rąk i zdawało mu się, że naga dziewczyna chyli się wolno na bok i potem pomału pełznie ku kwiatom, ku oknu! A ona leżała na wznak — bez ruchu. Widział, że się dziewczyna zbliża, chociaż jednocześnie widział, że między nim, a pełzającym ciałem przestrzeń nie maleje. Zapragnął panicz nieuciekać ale nie był w stanie dźwignąć nóg ani oderwać wzroku od nagiej dziewczyny, która się nieubłaganie posuwała naprzód, ciągle zostając na miejscu, jak gorączkowe widziadło. Przegiął się tyłem na oparcie okna i strasznym wysiłkiem woli przewinął się na piersi. Przekręconą głową patrzył w okropnego płaza — aż się raptownie wychylił w podwórze i spojrzał w ciemności. Wtedy na plecach uczuł położenie rąk... tych które pełzły! Zadrgał wszystkiemi mięśniami i, wyciągnięty, stężał. A gdy mu po chwili wpłynął ożywczy oddech do odkamieniałych płuc, zawołał obłędnie:

— Ja mogę wszystko! mogę wszystko! wszystko! Ale ona!... ach, czego chce ona?! Puść mnie! łamiesz pióra! drapiesz łabędzie skrzydła!... czy nikt, nikt nie sły...

Jerzy się wydarł za okno i umilkł, bo zaczął spadać w mrok.

KONIEC.

BADANIA NAUKOWE.

Wielki dramat wielkiego umysłu.

(Dokończenie).

Czterdzieści lat już mijało od wystąpienia Renana z jego *Vie de Jésus*. Od tego czasu żadne dzieło nie wywołało takiego jeszcze wstrząśnienia umysłów, jak wymienione L'Evangile et l'Eglise. A może nawet to drugie wstrząśnięcie było poważniejsze. Podstawy bowiem naukowe dzieła Loisy były bardziej niewzruszone, ściślej historyczne, rozumowanie zaś głębsze, szczersze, jaśniejsze. To, co było w nim krytyką protestantyzmu, nowe światło rzucało na cały Chrystjanizm; wprawdzie uwydatniało pewne strony katolicyzmu, podstaw dziejowych jego wszelako nie wzmacniało, stanowiska obecnego nie broniło. [1])

Gdy na wszczętą polemikę hałaśliwą w prasie konserwatywnej, gdy na szereg zakazów biskupich i arcybiskupich czytania tego dzieła, na szereg potępień gwałtownych i krytyk stronnych, autor odpowiedział uzupełniającym tamto nowym dziełem: *Autour d'un petit livre*[2]) w którym wszystkie zagadnienia poruszone w nim wyjaśnia i usprawiedliwia po kolei w przytaczanych listach do dostojników Kościoła, w 1903 r. dnia 6 grudnia, Święte Officjum Rzymskie wydało Dekret następny:

„Dzieła księdza Alfreda Loisy pod tytułem: La Religion d'Israël, Etudes évangeliques, Le Quatrième Evangile, L'Evangile et l'Eglisei. Autour d'un petit livre, mają być wpisane na Indeks dzieł zakazanych, stosownie do postanowienia zapadłego w przeszłą środę; — ten dekret zaś ma być zakomunikowany Jego Eminencji kardynałowi Arcybiskupowi paryskiemu za pośrednictwem Jego Eminencji Kardynała Sekretarza stanu, obowiązanego obwieścić zawartość tego postanowienia". Podpisano: J. B. Lugari, Assessor Świętego Officjum.

Nie dość tego. W tymże Rzymie, dnia 24 grudnia, plakaty drukowane obwieściły jego mieszkańcom rzecz następującą:

Piątek, 4 grudnia, 1903.

Święta kongregacja złożona z Eminen. i Rewer. kardynałów Świętego Kościoła Rzymskiego, wybranych i mianowanych przez naszego wielce Świętego Pana, Papieża Piusa X, i Świętą Stolicę Apostolską dla utworzenia katalogu książek szerzących błędną naukę, w celu ich wzbraniania, oczyszczania lub dopuszczania w całym Chrześcijaństwie, na posiedzeniu w Apostolskim Pałacu Watykańskim dnia 4 grudnia 1903 r. osądziła i osądza, potępiła i potępia, rozkazała i rozkazuje pomieścić w katalogu książek zakazanych dzieła: (następuje wyliczenie znanych już nam z tytułu pięciu dzieł Loisy), żeby nikt, bez względu na godność i stanowisko swoje, nie ośmielił się w żadnym miejscu i w żadnym języku wydawać w przyszłości, czytać lub przechowywać wymienionych dzieł, osądzonych i potępionych, pod karą oznaczoną w katalogu książek zakazanych. Kiedy o takowym Dekrecie, ja, niżej podpisany Sekretarz doniosłem naszemu wielce Świętemu Panu, Papieżowi Piusowi X, Jego Świętość zatwierdziła ten Dekret i rozkazała go ogłosić... Rzym, 23 grudnia, 1903 r. Andrzej, kard. Steinhuber, Przełożony. Tomasz Esser, z Zakonu Kaznodziejskiego, Sekretarz.

III. Gdy ów dekret, długo przygotowywany przez większość duchowieństwa francuskiego, zapadał w Świętym Officjum, a plakaty ogłaszały treść jego Rzymianom, autor tych dzieł wykładał w Sorbonie. Wyłożywszy w 1902 na 1903 o życiu publicznym Jezusa, w następnym, z 1903 na 1904 opowiadał o męce Jezusa według Ewangielji synoptycznych. Pomimo wystąpienia wrogów działalności jego naukowej i pisarskiej, sława jego rosła, rozgłos o nim rozprzestrzeniał się szeroko. W postępowym odłamie duchowieństwa, na którego czele stał kardynał francuski Mathieu, upatrywano już w nim nawet przyszłego biskupa.

O działalności profesorskiej Loisy w Sorbonie Paweł Desjardins, znany publicysta i krytyk, pisał w *Catholisme et Critique*, dziele, które chyba o krańcowość pojęć podejrzywać trudno: „Wykłady Loisy w Szkole Wyższych Nauk o Parabolach i o Męce Jezusa przynosiły w przeciągu lat dwuch, wraz z wykładami Bergsona w Collège de France, najwyższe zadowolenie, jakiego tylko dostarczyć może Paryż miłośnikom czystej wiedzy". O samej osobie wykładającego dowiemy się nieco od Aularda, profesora Sorbony, z opowiadania jego o wrażeniu, jakiego doznał on sam osobiście na jednym z takich wykładów: „Wszak wiecie, co Loisy utrzymuje, że posiada dwie natury, jak twierdzi, że uczuwa w sobie dwuch ludzi: wierzącego i krytyka. Ten, wierzący, przyjmuje na ślepo za prawdy boskie Księgi święte. Ów, krytyk wyjaśnia te Księgi jak wyjaśniają zwykle Tytusa Livjusza bez żadnych ceremonji, bez jakiegokolwiek bądź skrępowania przy wykazywaniu w tekście różnych wtrąceń, urojeń, zmyśleń. Będąc zaciekawiony w jaki to sposób, na katedrze profesorskiej w Sorbonie, godzić może Loisy tych dwuch ludzi w nim przebywających, udałem się na jeden z jego wykładów. Przedmiotem ich było badanie tekstów Ewangielji w celu wyszukania w nich podstaw do życia krytycznego Jezusa. Odbywają się one w sali dość szczupłej, przeznaczonej jedynie dla garści studentów, zapisujących, co usłyszą, lecz nie dla publiczności, próżniaczej a ciekawej. Obecna sława profesora sprowadziła tłumy do niej. Część słuchaczy zmuszona była stać. Z braku miejsca w sali, cisną się oni w przedsionku. Bałem się, że nawet wejść nie zdołam. Ponieważ należałem do domu (étant de la maison), uzyskałem nakoniec jedyne miejsce wolne, obok profesora. Było ono za blizko. Tylko jego profil mogłem widzieć. To mi jednakże wyszło na dobre. Loisy mówi półgłosem. Lepiej mi przeto było być tuż przy nim, niż choćby nieco oddalonym. Pierwsze słowa mię nie podbiły. Początek wykładu był nużący. Jąkanie się w wymowie a zaniedbanie w stylu sprawiały ciężką zawiłość. Jużem żałował, żem wszedł, tymbardziej, że natłok w sali wyjście z niej czynił niemożebnym. Przyczym męczyło mię to, że nie widzę twarzy wprost. Profil wydawał mi się również nic nie przemawiającym, jak i słowa. Wnet, atoli zachodzi niespodziewana zmiana. Oto wykładający czyta tekst. [3]) Głos czytającego potężnieje. Gdy skończył, na ustach zjawia się uśmiech. Uśmiech ten rozjaśnia wszystko, com widział w jego postaci. Z ust jego przechodzi na usta wszystkich słuchaczy, nie wyłączając kilkunastu księży. Z nich tylko jeden, uporczywie odporny, nie uśmiechnął się wcale. Może nie zrozumiał... O, ten uśmiech kapłana Loisy! Kto go widział na tych ustach, nigdy już nie zapomni... Nie był to uśmiech szydercy złośliwego, który się drażni lub drwi sobie. Nie był to uśmiech uczonego pedanta, który się przypadkiem uniósł. Ani też zuchwałego buntownika, chełpiącego się swym czynem przygodnym. Raczej uśmiech to

[1]) Treść jego podam w artykule zamierzonym p. t. Loisy contra Harnack.

[2]) Deuxième edition, 1 v. XXXVI + 304, 1903.

[3]) „A jeden jakiś młodzieniec szedł za nim, przyodziany prześcieradłem na nagie ciało i uchwycili go żołnierze. Ale on, opuściwszy prześcieradło, nago uciekł" (Mar. XIV, 51 — 52).

człowieka rozumnego, który ćwiczy swój rozum, doświadcza go, doświadcza dla doznania jedynie rozkoszy doświadczania samego, ponieważ to doświadczenie jest celem, jest istotnym żądaniem życia, ponieważ jesteśmy na świecie dla doświadczania rozumu"...

Ten wykład Loisy, na którym był przytomny Aulard, odbył się w marcu, w trzecim miesiącu po ogłoszeniu Dekretu, skazującego na Index dzieła jego. Ówczesny arcybiskup paryski, kardynał Richard, na początku stycznia 1904 uwiadomił autora o treści komunikatu z Rzymu.

W odpowiedzi na ten dokument Loisy szle dwa listy do sekretarza stanu, kardynała Merry del Val (12 i 26 stycznia), a również dwa inne do papieża (28 lutego i 17 marca) usprawiedliwiając swoje stanowisko jako *historyka* Chrystjanizmu. Ta wiadomość jest konieczną dla zrozumienia dalszych słów Aularda. Oto one: „Zapytywałem siebie niedawno, czy ksiądz Loisy podda się ostatecznie cenzurze kościelnej. Z ciekawością przysłuchiwałem się temu, co mówiono, jak to nieprzyjazne mu duchowieństwo nakłania go, żeby, nieczekając już ostatecznego potępienia swej osoby, złożył odwołanie *czyste i proste* swej nauki. Chętniebym był uczestniczył w owym Colloquium, które, jak mówiono, odbyło się w mieszkaniu tego kapłana, kiedy pięciu wysłańców papieża, trzech duchownych, dwuch świeckich, błagali go o poddanie się żądaniom wyższym. Moje zaciekawienie nie potrzebowało już wtedy przysłuchiwać się anegdotom lub badać sekreta w tej sprawie. Widziałem jego uśmiech. Tak się uśmiechać tylko zdoła ten, kto nigdy nie ustąpi. Święte Officjum może przygotowywać ekskomunikę dla niego. Możebnym jest i to, że od człowieka wątłego, jak się zdaje, zdrowia wyrwą słowa żądane lub podpis. Nigdy atoli nie zmuszą go do rzeczywistego poddania się. O, ten uśmiech! Tylko przez płonący stos mogłoby go Święte Officjum zagasić, wszakże stosów obecnie już nie wznoszą. A gdyby i wznosili, ten uśmiech widzę jeszcze zza płomieni ognia pochłaniającego ciało... Oto, co sobie powtarzałem słuchając Loisy. On ciągnął swą rzecz powoli lecz w sposób niezbity. Tłumaczył to, co nazywał metodą *redakcyjną* Marka: wykazywał nieprzerwaną jego dbałość udawadniania ziszczeń proroctw. Ów młodzieniec, nagi, tylko prześcieradłem okryty, wprowadzonym do Ewangielji został tylko dlatego, że ongi prorok był wyrzekł, że wrogowie Boga i prawdy będą zmuszeni pierzchać nadzy... I dalej rozprawiał, uwidaczniał sprzeczności, wykazywał wtrącenia, mądre stawiał hipotezy, zastosowywał metody wytyczne nie tylko z wielką prostotą, lecz z zupełną swobodą, głosem poważnym i szczerym bezstronnego myśliciela. Całe grono słuchaczy przez współczucie brało udział w pracy, tak sumiennej, myśli wolnej a uzbrojonej. Przeżyliśmy wtedy tę zbyt krótką godzinę w podniosłej atmosferze umysłowej, której czystość nas ożywiła..." (Aurore, z dnia 28 marca, 1904 r.)

Pod koniec marca Loisy oznajmił w pismach że przerywa wykłady „z własnej swej inicjatywy", a to w celu „uspokojenia umysłów w Kościele katolickim". Przytym oświadcza: „co zaś do mojego postanowienia, względem mojego stanu duchownego, życzę sobie niezłomnie, żeby o tym przestano mówić, ponieważ niema nic do powiedzenia. Zrobię z sobą sam, co uznam za najlepsze. Co zaś z tego wyjdzie — nie wiem".

W lipcu Loisy opuszcza Paryż.

Akt drugi dramatu na tym się kończy.

IV. Aulard w uśmiechu na ustach Loisy dojrzał prawdy, przewidział przyszłość nieuniknioną. Zdala od Paryża pracuje on z równym, jak był rozpoczął, natężeniem w raz wytkniętym kierunku. Pomieszczane w *Revue d'histoire et de littérature religienses* za 1904 i 1905 rok oddzielne artykuły utworzyły tom osobny. [4]) Wszystkie atoli dotychczasowe prace, tak pod względem materjału, jak również pomysłów, poglądów i ich wyników, były tylko przygotowaniem do dzieła nowego. Można je nazwać pomnikowym wogóle w piśmiennictwie naukowym francuskim, zwrotnym zaś — w specjalnej jego gałęzi, stanowiącej krytykę biblijną, jako pojedyńczy rozdział w historji religji. Tym dziełem jest: *Les Evangiles synoptiques*. [5])

Tytuły nadawane przez Loisy swoim pracom częstokroć nie przedstawiają pełnej treści dzieła. Wiemy, że *L'Evangiles et l'Eglise* mogło by nosić inny, bardziej odpowiedni treści i znaczeniu: *L'Essenence du Christianisme*. Tak też i w tym wypadku. Jest to *Życie Jezusa według Ewangielji Synoptycznych*, poprzedzone rozdziałami, przedstawiającymi dzieje rozwoju krytyki tych Ewangielji do czasów autora, jego w tej nauce stanowisko i dwoma specjalnymi mającymi charakter specjalnych rozpraw: *La carrière de Jésus* (VII i VIII), *L'entliquement de Jésus d'afirès les Evangiles synoptiques* (203 — 254).

Śmiało a bezspornie postawić należy to dzieło co do uczoności, systematyczności i głębokości na równi obok niemieckich tego rodzaju Przewyższa zaś niechybnie ono wszystkie niemieckie jasnością wykładu, polotem szczytnych myśli, podniosłością humanitarnych uczuć, wyższym poziomem ideałów społecznych.

Po zamieszczeniu wszystkich swoich prac na Indeksie książek zakazanych Loisy pozostało do wyboru: odwołanie tego co nauczał, to jest, wyrzeczenie się i potępienie swojej poprzedniej działalności, a więc — milczenie, jedynie odstępcy przystojne, lub ostateczne, to jest, nietylko duchem ale i w formach zewnętrznych, odłączenie się od stanu duchownego, jawne wystąpienie z korporacji kapłańskiej. Dwa dzieła wydane przez niego w 1908 r. [6]), wraz z poprzednim, przeważają szalę. Dwa te ostatnie wyjaśniają jego położenie osobiste, stosunek do władz kościelnych, a zarazem — rozstrzygają o jego losie przyszłym. Loisy przestał być kapłanem.

Akt trzeci dramatu skończony. Pozostaje epilog.

* * *

Loisy powraca do Paryża. Rozpoczyna wykłady w Collège de France Historji Religji. Wydaje na nowo poprzednie swe prace pomieszczone na *Indeksie*. Od czasu do czasu wrogie mu żywioły podbudzają uliczne tłumy lub najemnych awanturników do hałaśliwego wystąpienia przeciwko niemu, lecz on, jako ów Horacjusza starożytny *vir justus et tenax propositi*, robi swoje, to, co mu sumienie społeczne i naukowe nakazuje.

Szczęśliwy, ma pole po temu...

I. Radliński.

LITERATURA i SZTUKA.

Ruń książka zbiorowa młodzieży. Warszawa 1910. **Wici** Warszawa, Rok I. styczeń — luty 1910. **Fala** Nr. 1 Nr. 2. **Do Dzieła**. Jednodniówka poświęcona sprawom młodzieży postępowej w Królestwie Polskim. Kraków. 1910.

Było to zimą z 1908/1909 r. gdy doszła z Krakowa żałobna wieść o nagłej i tragicznej śmierci jednego z tych młodzieńców, o których roić można było, że

[4]) Morceaux d'exègèse 1 v. 1906 p. 215.

[5]) 2 vol, in 8-vo: 1 — 1014, 2 — 818 stronic, 1907 — 1908.

[6]) Simples Rèflexious sur le decret du Saint — Office *Lamentabili sane exitu* et sur l'Encyclique *Pascendi dominici gregis*, 1 v. 307 str. 1908. Quelques lettres sur des événements recents, 1 v 295 str. 1908.

do „nieba sięgną po laury", gdyż o „duszenie centaurów" i „urywanie łba hydrze", pokusili się niemal w kolebce.

Wieść ta nie była odosobnioną. Krwawe żniwo kładło pokotem całe zastępy tych młodych istnień, a na łanach naszych coraz szerzej i szerzej zalegały gołe, szare, kolczaste ścierniska. Pustka — jałowa beznadziejna pustka, wśród której każde hasło głuchnie i rozwiewa się w przestrzeni, odbierała resztkę odwagi garstce pozostałych pracowników. Młodsi giną, starszych siły opuszczają — i niema komu ich zastąpić. Skąd przyjdzie nowa wiosna, jakże zazielenić się zdoła nowa ruń, gdy dziś nie widać na polu ani siewców, ani oraczy?

Oto dręczące pytanie, które jawiło się nad każdą taką świeżą mogiłą, zamykającą przedwcześnie zgasły płomyk bujnego życia. Pytanie to narzuciło się również szczupłej garstce tych, którzy pamięć krótkiej lecz bujnej działalności młodego D. uczcić pragnęli. Nie mamy młodzieży tu na miejscu, ale ona przecież gdzieś jest. Rozproszona po różnych zagranicznych ogniskach wiedzy gotuje się do przyszłej pracy w kraju, a gdy powróci, co nam przyniesie? Jakie są jej hasła, marzenia, ideały w kierunku jakiej gwiazdy sterować będzie swą łodzią? Ach! jakżeżbyśmy pragnęli ujrzeć nareszcie ten nowy zastęp pracowników, którzy nas wezwą, byśmy im ustąpili pola, bo przyszła już ich kolej, bo dzień dzisiejszy do nich należy! Za każdym razem, gdy „młodzi" zastępują drogę „starym" i wyzywają ich do walki, tylko zdziecinnienie lub krótkowidztwo może w tym widzieć gorszące zuchwalstwo i nad nim ręce łamać. Ci młodzi, to nie wrogowie, nie przeciwnicy nawet; to odsiecz. Nowe hufce, nowe sztandary, nowe pieśni bojowe — muszą zastąpić sterane siły, stłumione głosy i postrzępione chorągwie. A im więcej nowego, własnego ze sobą wniosą, tim mniej będą do nas podobni —- tym lepiej.

Była wtedy mowa o rozesłaniu jakiejś odezwy, czy ankiety skłaniającej młodzież do wypowiedzenia się. Ale tu znowu rodziło się pytanie, czy nie będzie to środek zbyt sztuczny i nie wywoła tylko sztucznego, fałszywego echa. Pokolenie, które milczy i czeka pytania, może niema naprawdę nic do powiedzenia, a stawiając mu wymagania, którym nie może sprostać — może sami skłonimy je do pretensjonalnej pozy — i nic więcej.

Milczenie jednak nie trwało długo. Nie z owych dalekich, rozproszonych po szerokim świecie ognisk, ale z bliska, tu z kraju coraz częściej dochodzą nas dźwięki młodzieńczej pobudki rwącej się do nowego życia drużyny. Są to głosy najmłodszych. W braku młodzieży uniwersyteckiej uczniowie naszych szkół średnich przejmują jej rolę. Samodzielnie szukają dróg swoich, skupiają się, rozniecają iskry nowych natchnień, tworzą własne ideały. Owocem tego wczesnie (czy nie za wcześnie?) budzącego się życia są coraz częściej pojawiające się jednodniówki uczniowskie. Czy nie za wcześnie? pytam, ale trudno by mi było uzasadnić to pytanie. Starszym się zawsze zdaje, że dzieci zbyt wcześnie biorą się do tego, co mogłyby na później zostawić. „Dzieci powinny być jak najdłużej dziećmi", ale jak to zrobić? Jedne rosną szybko, inne powoli; jedne prędzej, inne później rozwijają się umysłowo lub fizycznie. Czy można ich wzrost i rozwój powstrzymywać sztucznie, jeśli jakieś czynniki tkwiące w środowisku lub nastroju chwili przyspieszają dojrzewanie? Czy wszelki nacisk zewnętrzny nie przyczyni się raczej do wykrzywienia kierunku owego przedwczesnego wzrostu? Decydującym czynnikiem z punktu widzenia wychowawczego jest i musi być zawsze kierunek. Nikt nie postawi w równej linji dziecięcej donżuanerji z dziecięcą twórczością, ani młodych wynalazców aeroplanów, z młodymi bywalcami kabaretów. Nie wolno wymagać od uczniów szóstej klasy by pisali sonety — ale nie można im tego bronić.

Dla uspokojenia zbyt troskliwych i lękliwych rodziców, pospieszam objaśnić, że uderzającą przewagę w tej literaturze szkolnej ma nie polityka — broń Boże — lecz poezja. Stwierdzono podobno, że każdy niemal z piszących zaczyna od mowy wiązanej, oraz że najlepszą prozą piszą ci, co zaczynali od rymów. Opierając się na tym zdaniu wolnoby wnosić w pierwszym rzędzie, że z owych najmłodszych pokoleń wyjdą kiedyś dzielne talenty pisarskie — jeśli nie wprost poetyckie. Dziś już z rozkoszą stwierdzić można, że rozwija się wśród nich—rzecz oddawna nie widziana u nas, a zdawna upragniona — poczucie piękna mowy ojczystej. Niektórzy zwłaszcza z tych młodych poetów znakomicie opanowali formę i umieją wydobyć z języka rodzinnego duże bogactwo barwy i dźwięku. Jest w tych poezjach wielkie rozmiłowanie się w pięknie słowa i w czarach przyrody, jest wezbranie uczucia rozlewnego, gubiącego się często w nieokreślonej tęsknocie, w żałosnej skardze, w tej zwykłej młodzieńczej melancholji, która się rodzi z naturalnego kontrastu między wielkim napięciem wewnętrznych sił, dla których życie nie stworzyło ujścia, żądzą podniebnych wzlotów a ciasnotą i szarzyzną ziemskiego widnokręgu.

Stąd bierze początek pesymizm młodych przybierający czasem pozory przedwczesnego przesytu i rozczarowania, i wywołujący zarzuty nieszczerej pozy lub, co gorsza, starczej bezsilności. A tymczasem nie jest to ani jedno, ani drugie, lecz odwrotna strona idealizmu dusz młodzieńczych, które muszą boleć bo wiele pragną a życiowe kompromisy nie nauczyły ich jeszcze swych pragnień ograniczać a więc i formułować. Jest to poezja marzycielskich przeczuć i tęsknoty.

Idę przez życie —
Niby przez dziwny sen...
Idę — daleko, hen!
I nie wiem, skąd przychodzę,
Ni ciche swoje zwrócę kroki...
Tonę w zaświatów błękicie —
I tak po życia mego idę drodze.
Czuję, że czeka mnie Coś — tajemnicze
Tam, gdzie mych myśli i ducha wysoki
Podniebny ołtarz — płoną przyszłości wielkie,
święte znicze.
(„Ruń" Moja droga).

Czasem też jest to poezja gwałtownych porywów i złamanych skrzydeł:

Gdybym mógł serce potargać w kawały
i żywe cząstki włożyć w piersi ludzi
by wiecznie biły,
jak źródła siły...
Gdybym mógł z duszy wydrzeć ogień cały,
co do czynów myśl mą budzi,
gdybym nim rozgorzał stężałą pierś ludu ..
. . . . . .
Lecz jam za słaby do cudu.
(„Fala". S. J.)

Niekiedy wreszcie zabrzmi dźwięk bojowej pobudki:

Chciałbym wam jadem bryznąć w twarz,
Że w miękkich puchach gnuśnie śpicie,
Gdy trzeba mężką dzierżyć straż,
Gdy trzeba nowe stworzyć życie.
Chciałbym wam jadem bryznąć w twarz
Że jasne szaty pierś wam stroją,
Gdy zewrzeć trzeba hufiec nasz
A serce twardą okryć zbroją.

Zdarzają się naturalnie reminiscencje już wyśpiewanych melodji. „Kawały serca" są oczywiście zapożyczone ze Słowackiego, a Konopnickiej odkradziono motyw następujący:

Dajcie mi ton, co stwarza płomień czynu,
co może wam pod nogi rzucać gromy,

co może skroń przybierać w liść wawrzynu —
a ja wam dam podbitych serc ogromy.

Tu i owdzie spotykamy echa Tetmajera:

Jaśminu krzaki chylą białe kwiaty
nad nasze młode rozkochane skronie,
w szarym półmroku cały ogród tonie.. i t. d.

Erotyki są pełne sielankowego idealizmu; w liryzmie młodych przemagającą jest nuta rzewna—w poezji polskiej a może wogóle słowiańskiej — najpospolitszy dźwięk.

Jeżeliby chodziło o objęcie całości tych utworów jakąś ogólną charakterystyką, to trzeba uznać, że tchną one świeżością i szczerością natchnień, przypominającą poniekąd czasy pierwszego romantyzmu. Ci młodzi piewcy i autorzy z wielką powagą traktują swoje ideały, życie i siebie samych. Nigdzie drwin, ironji, swawolnego humoru. Widać, że wydawanie takich jednodniówek nie jest dla nich po prostu rekreacyjną zabawką ani też niewinną karotą na cele koleżeńskiej samopomocy, ale istotną potrzebą wezbranych serc, którym spieszno wypowiedzieć się, bo czują, że tam, pod czaszką coś jest przecież.

„Młodości siła świat wyzwoli", czytamy w „Haśle" na pierwszej kartce jednodniówki „Ruń". Otóż zdaje się, że to „Hasło" znajduje oddźwięk szczery i pełny. Ta młodzież wierzy w swe siły i w zapowiadane wyzwolenie. Dziś naturalnie trudno, niezmiernie trudno przesądzać, jaki będzie plon jesieni i lata, ale to jest już w każdym razie nowa wiosna.

Wspomniałam o romantyzmie. Pokrewieństwo nie jest może zupełnie przypadkowe. Współczesna młodzież szkół naszych jest pierwszym pokoleniem, które się grzeje w promieniach wielkiego słońca naszej narodowej poezji. Dawniejsi „sztubacy" poznawali ją fragmentycznie jako literaturę nielegalną, jeżeli nie woleli się karmić inną, bardziej aktualną nielegalszczyzną. Trudno dziś nawet odtworzyć sobie, a w każdym innym kraju trudno byłoby pojąć, jak dalece obce były dla naszej dawniejszej młodzieży (męzkiej zwłaszcza) najcenniejsze skarby, jakimi natchnienia twórców duszę narodu zbogaciły. To co w wychowaniu innych narodów jest przedmiotem kultu, u nas było zupełnie usunięte z zakresu wpływów wychowawczych. Dopiero obecnie dorwała się dziatwa nasza do tych skarbów i czerpie je pełnymi garściami. Dla młodych Niemców Goethe i Szyller są już dziś niemal obojętni, stali się oni zbiorem materjałów do ćwiczeń stylowych. U nas Mickiewicz i Słowacki jeszcze nie doznali tej degradacji; młodzież nie z obowiązku lecz z zamiłowania w nich się pogrąża. „Gustaw i Konrad", „Treść i idea zasadnicza Anhellego", „Problemat walki o wyzwolenie w Anhellim" — oto tematy trzech referatów literackich drukowanych w „Runi" i w „Fali": Nić tradycji nawiązuje się na nowo. Każde nowe pokolenie szuka dla siebie w przeszłości momentów analogicznych do chwili, którą przeżywa. Mamy tego widoczne symptomaty we współczesnym piśmiennictwie dorosłych tak samo jak w próbach literackich młodzieży. Są pewne psychiczne pokrewieństwa między współczesną epoką a epoką z przed 80-ciu laty. Historycy nasi zwrócili się do badań nad dziejami Królestwa Kongresowego i rewolucji listopadowej; aż czterech naraz autorów wskrzesza postać Mochnackiego. A kiedy dziś—jak ongi —
„po tym deszczu w Polsce krwawym
Nowi poeci rodzą się jak grzyby"...
młodzież podejmuje na nowo zagadnienia Konrada, Kordjana, Anhellego i z głębokim akcentem powtarza hasła skrzydlatego rycerza „Jest czas żywota dla ludzi silnych!"

Czy to pokolenie da nam „ludzi silnych?"... Oto najbardziej palące zagadnienie narodowe, od którego wszystkie inne zależą. Społeczeństwo nasze wszystkiego pozbawione, wydziedziczone ze wszystkiego, postawione w najfatalniejszych warunkach zewnętrznych, niema jednak żadnego równie dotkliwego, równie dojmującego braku — jak ten właśnie: brak silnych, tęgich, pełnych typów ludzkich. Niedorozwój lub rozwój jednostronny, spaczony, jest najcięższą chorobą, chorobą chroniczną, która je zawsze z nóg waliła w tych chwilach nawet, gdy ono mogło stanąć o własnych siłach. Zdaje się, że nareszcie świadomość tego zła zaczyna się coraz wyraźniej rysować w umysłach i przenikać w najmłodsze pokolenia. Znamienną pod tym względem jest jednodniówka młodzieży postępowej „Do Dzieła" wydana w Krakowie.

Wśród rozmaitych rozważań politycznych, dotyczących zagadnień chwili bieżącej, kwestji organizacyjnych, stosunków do partji i grup społecznych, rozważań zdradzających dość widoczny wpływ znanej ideologji partyjnej raz tego raz innego odłamu lewicy — przebija się jeden motyw przewodniczy, motyw samodzielny i wreszcie górujący nad innymi: poszukiwanie nowego typu człowieka.

Młodzież czuje i rozumie, że zanim zacznie przetwarzać świat, musi przetworzyć siebie, bo z takimi ludźmi — jacy są, społeczeństwo pozostanie zawsze tym, czym jest.

„Przewodnim ideałem organizacji młodzieży postępowej winno być stwarzanie „ludzi kompletnych", ze światopoglądem zupełnym w składowych swych częściach logicznym i organicznie związanym. Autor zastrzega się, że kult potężnych i pełnych indywidualności, nie ma być „aspołecznym", ale chodzi mu o wyrzeczenie się „ciasnego kramikarstwa partyjnego" „dogmatycznego przyjmowania na wiarę". Wolność badania, wolność dyskusji, sumienność naukowa, szczerość i rzetelność w przekonaniach, to jeszcze nie dosyć. „Ludzie kompletni" dążą do uzewnętrznienia się w czynie. „Czynu i walki uczyć nie można.. konieczność ich musi być we krwi i mózgu".

Wstręt do wszelkiej dwoistości i oportunizmu wyraża się również w antyklerykalnym nastroju młodzieży naszej. Od całego szeregu lat i co najmniej dziesięcioleci uważano to za zjawisko zupełnie pospolite, że młodzież w wyższych klasach brała rozbrat z religją, dawniej jednak na tym tle nie wynikały żadne konflikty. Dawny człowiek i dawny uczeń bez wahania grał konwencjonalną komedję i bez zachłyśnięcia kłamał. Obecnie żądza jawności i szczerości, potrzeba zgody ze samym sobą prowadzi do zrywania pęt, których wówczas nieomal nie odczuwano. Dawniej *sztubak* drwił z praktyk religijnych ale im się poddawał; dziś buntuje się przeciw nim, bo je traktuje poważnie. Przedewszystkim traktuje poważniej samego siebie; szanuje swoje ja i chce je zachować. Istotnie, zaczyna się tworzyć nowy typ człowieka, człowieka jeśli nie wolnego jeszcze, to już dojrzewającego do wolności.

Ta cecha jest może jedynym wybitnym rysem wspólnym całej t. zw. młodzieży postępowej. Poza tym różnice partyjno-polityczne zacierają się, może wbrew usiłowaniom dorosłych agitatorów, którym chodziłoby o zasilanie wyszczerbionych kadrów partyjnych nowozaciężnymi a wyćwiczonymi już szeregowcami. Nawet potulniejsza od postępowej młodzież t. zw. narodowa pisze o „odgrodzeniu się jaknajściślejszym od kierunków znajdujących się dziś w stanie rozkładu" (Wici) i o „pracy nad wyzwoleniem ducha" jako przygotowawczej do politycznego wyzwolenia. I tu i tam więc „kramikarstwo partyjne" — złożono do rupieciarni, co nie oznacza zresztą nic innego nad dążenie do wytworzenia nowej ideologji jako podstawy do nowych ugrupowań.

Jest to wyraźny wynik świadomości, że po minionej burzliwej i gorącej chwili jedne prądy wykipiały i wyczerpały się, inne zbyt płytkie wsiąknęły bez śladu w spiekłą ziemię i dziś nowych źródeł trzeba poszukiwać lub sięgać w głąb tych wiecznie biją-

cych, co nie wysychają nigdy. Odwraca się karta; coś się skończyło — coś innego zacznie się już niebawem, ale nie wcześniej, nim zjawi się na polu pracy nietylko nowy szereg ludzi lecz nowy typ ludzki.

I jeszcze jedna uwaga: Dzieje naszego kraju zawsze zadawały kłam wszelkim sceptycznym poglądom na potęgę wychowania. U nas żadna reforma wychowawcza, żaden przełom w dziedzinie szkolnictwa — do Jezuitów i Konarskiego sięgając, nie minęły bez wywołania głębokich i doniosłych następstw w historji rozwoju narodu. Nowa szkoła dawała zawsze nowych ludzi i stwarzała nową epokę

Jakich ludzi da nam ta szkoła, która się zrodziła w 1905-ym, oto pytanie, którego roztrzygnięcie może obciążyć, rozgrzeszyć, lub zasługą uwieńczyć tych, co w owym roku czynną grali rolę. Dlatego to wszystko, co charakteryzuje wychowańców tej szkoły, co odkrywa ich duchową fizjonomję, posiada dla nas znaczenie ważnego społecznego zjawiska, i dla tego to było naszym obowiązkiem zaznajomić się z tymi próbami dość bujnie krzewiącej się literatury uczniowskiej.

I. Moszczeńska.

Poeci o sobie.[1]

Jakie olbrzymie zadania stawia człowiekowi zawód poety, wykonywany w sposób wielki i poważny, jakie skrupuły i niepokoje wewnętrzne poprzedzają pracę właściwą, nie mamy o tym ani wyobrażenia, ani nawet przeczucia. Jest to ni mniej ni więcej tylko ofiara żywota; codziennie składana na nowo. Muza nie „nawiedza" swego wybrańca, lecz od najpierwszej młodości aż do ostatniego tchu bezmiernie go tyranizuje. Czytając żywoty znakomitych poetów, przekonamy się, że w przeważnej części dziecięce już lata nieustanną toczyły wojnę; właściwość bowiem, którą nazwałbym kiełkiem wszelkiego talentu, to jest szczerość wobec siebie samego, popadało w zatarg z powagą, to znaczy, konwencją. Najzwyklejszym objawem są tutaj niesnaski z rodzicami i nauczycielami. Tak zwany okres rozwojowy odbywa się w przeważnej części wśród przeraźliwych burz duchowych, przechodzących tuż nad krawędzią grobu; serce jednakże napełniają błyskawicami, z których później, gdy wiedza dojrzeje, potężne rodzą się dzieła. Z powodu tych burz młodzieńczych zwracam uwagę na rzucające się w oczy zjawisko, które warto sobie zapamiętać. Zdawałoby się, że świat zewnętrzny odzwierciedla się najwyraźniej wówczas, gdy dusza jest najspokojniejsza, tak przynajmniej wymaga porównanie z wadą i powszechnie przyjęta opinja. Tymczasem najlepszymi obserwatorami bywają właśnie poeci, którzy przeszli najgłębsze burze duchowe. Aby wielkim stać się realistą, trzeba wpoprzód nauczyć się głęboko patrzeć w wnętrze...

...Doskonałości absolutne zarówno w rzeczach małych, jak i wielkich, mogą stwarzać tylko *ludzie osobiście wielcy*. Jak niezmiernie trudno uświadomić to sobie, mamy dowód w szeregu dyletantów lirycznych, którzy w prostocie swej duszy ani przeczuwają, że i najdrobniejsza piosnka wymaga wybitnej oryginalności twórcy; zdaje im się natomiast, że natchnienie spadnie na nich skądkolwiek. „Łaska chwili", „Pocałunek muzy". Bardzo pięknie. Niestety, łaska to spada tylko na tych, którzy ją posiadają już skądinąd, a muza całuje tylko oblicza o ostrym wybitnym profilu...

...O osobistość jest w wszelkiej sztuce czynnikiem tak rozstrzygającym, że człowiek twórczy pozna od razu, z najmniejszej choćby próby, czy ten, który tę jedyną napisał stronicę, należy wogóle do powołanych czy do lichot.

Spitteler.

* * *

...I sztuka cel swój posiada; bo czyż mogłaby mieć inaczej jakąkolwiek dla nas wartość? Dąży do stwarzania nieprzemijającego przyrostu coraz to nowych uczuć swobody, do świadomego opanowania dziedzin wyobrażeń, które dotychczas przypadkowo tylko łączyły się z sobą i żadnego nie miały celu, dziedzin dla wiedzy i religji, a tymbardziej dla kultury praktycznej dotąd jeszcze nie otwartych, albo wogóle całkiem niedostępnych. W ten sposób historja sztuki przedstawia się nam jako nieustannie budująca się twierdza ducha, z konieczności na wysokich wznosząca się piętrach, którą kultura stawia przeciwko naturze, zarówno przeciwko naturze ludzkiej, jak i naturze świata, ażeby nie zagubić się w jej bezdennych głębiach i dalach.

Dehmel.

* * *

Poeta miłośnikiem jest cierpień i miłośnikiem szczęścia. Zachwyconym wśród wszelkich miast i zachwyconym wśród samotni. Namiętnym jest podziwiaczem rzeczy które są od początku i tych, które są od dzisiaj. Nie może bez żadnej obywać się rzeczy, ale właściwie niczego też stracić nie może, nawet przez śmierć. Umarli dla niego zmartwychwstają, nie kiedy on chce, lecz kiedy chcą sami, ale w każdym razie zmartwychpowstają. Mózg jego oto miejsce, w którym no jakiś atom czasu wolno im żyć raz jeszcze i gdzie bytujący w jakiejś lodowatej samotni stają się teraz uczestnikami szczęścia ludzi żywych: wolno im spotkać się ze wszystkim, co żyje.

v. Hofmannsthal.

* * *

Wszelkie poezje są tylko popsutą neprodukcją tekstu przyrody, z którym powinny się zgadzać. Rym sonetu nie mniej powinien być wdzięczny od skrętów muzyki albo od barwnej przeplatanki form w bukiecie kwiatów. Parzenie się ptaków jest idyllą, ale nie tak nudną, jak nasze idylle; burza dziką jest odą bez napuszonego patosu, lato z swym siewem i żniwem jest pieśnią epicką, podzielaną na przedziwnie wykończone śpiewy.

Emerson.

Z PRASY.

Z prasy polskiej.

* DOKOŁA GRUNWALDU. Przez kilka dni prastary Kraków bił radosnym tętnem życia wszystkich ziem polskich. Świetny obchód był nietylko upojeniem serc i dusz; dał on nadto impuls do poważnych refleksji, do twórczej inicjatywy ze strony sfer postępowych. Zarówno na miejscu, w Krakowie, jak i w prasie krajowej zaszła wymiana zdań i uwag, których w niniejszym krótkich przeglądzie przytoczyć niepodobna. Obok inicjatywy rozjemczej w sporze polsko-rusińskim, dominujący akord w chórze głosów postępowych — ten sam, który i w naszym piśmie rozbrzmiewa — głosi konieczność emancypacji ducha polskiego z pod wpływów klerykalnych. Polskie poczucie narodowe wyzwala się z pod wiekowej suggestji i patrzeć poczyna na świat, na swoje błędy mi-

[1]) Cztery głosy: R. W. Emersona, K. Spittelera, H. r. Hofmannsthala i R. Dechmla o poecie. Zebrał i ułożył Jan Kasprowicz. Wydawnictwo Symposion pod redakcją Leopolda Staffa.

nione trzeźwemi oczyma, przemierza swe cele myślą wolną.

W numerze 140 *Myśli niepodległej* pod nagłówkiem „Po pięciuset latach" czytamy:

Na obrazie Matejki „Bitwa pod Grunwaldem" unosi się w powietrzu wizerunek świętego Stanisława biskupa. Wieść cicha idzie z ust do ust, że Matejko później domalował swego świętego i to głównie za namową Stanisława hrabiego Tarnowskiego.

Pod Grunwaldem go nie było...

Tak też i w historji po świetnej i liberalnej epoce Jagiellonów nastaje epoka Wazów, w której jezuici doprowadzają Polskę do wręcz przeciwnych celów, niż te, które sobie stawił rozgromiony Zakon Krzyżacki. Ten się sekularyzuje, natomiast Polska staje się służebnicą uzbrojoną Watykanu i nawet wojny swoje tylko w interesie jego prowadzi.

To też przypłaca tę fatalną politykę — życiem. Unoszący się nad nią święty Stanisław prowadzi ją do rozbiorów, do klęsk, do ostatecznych poniżeń. Im słabiej na głowach królów spoczywają korony, tym więcej pojawia się w Polsce obrazów Matki Boskiej z koronami złotymi ozdobionymi brylantami.

Z polskości zostaje wreszcie tylko katolickość.

Jakże to jednak charakterystyczne, że ci, którzy nas w XV wieku chcieli na katolickość chrztem krwawym, po dawno już dokonanym chrzcie z wody, nawracać, sami wnet postrzegli, że taka polityka tylko ich wieść może do grunwaldzkich rozgromów. Jakże to jest znamienne, że ci, którzy wtedy przeciwników tak świetnie rozgromili, w sto pięćdziesiąt lat później z ich porzuconego błędu uczynili sobie cnotę i do dnia dzisiejszego nie widzą, co ich do obecnego nad wyraz tragicznego położenia doprowadziło...

Ze swej strony *Piotrkowianin* (Nr. 15), młody i pełen życia organ postępowy, szlachetnie i śmiało broni stanowiska młodzieży krakowskiej, która, jak wiadomo, postanowiła święcić Grunwald obchodem narodowym i świeckim, bez kościelnego aparatu. P. Henryk Bronicki w art. p. t. „Młodzież uczy politycznych weteranów" wręcz powiada:

Rzym – to synonim przekleństwa, wyzysku, nienawiści i zdrady dla kraju naszego. Od Rzymu nie mieliśmy nigdy nawet moralnej podpory, słuszną więc jest rzeczą, że się nareszcie poznano na kreciej robocie ciałem i duszą oddanych mu sług, że młodzież w rezolucji swej wyeliminowała z obchodu półtysiącoletniej rocznicy grunwaldzkiej religijne praktyki, że w dniu narodowego święta postanowiła pominąć tak haniebnie w historji naszej zapisany kościół.

Wszak niedawne to czasy, gdy ks. kardynał Puzyna zaprotestował przeciw sprowadzeniu na Wawel prochów Juljusza Słowackiego, nie zapomnieliśmy również o oszczerstwach, rzuconych z wysokości tronu papieskiego na naród nasz za rzekome pogromy żydowskie, jeszcze nie przebrzmiało echo wystąpienia w parlamencie niemieckim prałata Jaźdżewskiego, oddającego „cesarzowi, co jest cesarskie".

Pomimo całego szeregu moralnych policzków, jakich nam Rzym i polski kler nie szczędzi, pomimo, że na każdym kroku stwierdzamy wrogie stanowisko kościoła w stosunku do kraju naszego, jakieś dziwne, niewytłumaczone fatum pcha nas w objęcia tych, dla których Rzym a nie Polska jest jedyną ojczyzną.

Czas nareszcie zerwać z przestarzałym i nie licującym z godnością narodową hasłem, że dobry Polak jednocześnie wiernym sługę Watykanu być musi, czas otrząsnąć się z dogmatycznej pajęczyny i religijnego fanatyzmu, który Sobieskiego zaprowadził pod Wiedeń dla wzmocnienia niemczyzny.

Dziś powszechnie wiadomym jest, jak wielki błąd polityczny popełnił Jan III, dając posłuch jezuickim radom wymownego legata papieskiego. Rycerstwo polskie ruszyło pod Wiedeń, potęga turecka została złamaną, i z upadku tego Turcja nie dźwignęła się już nigdy. Błąd był wielki, wprost nieobliczalny w swych skutkach. Rzeczpospolita później drogo, nawet bardzo drogo zań zapłacić musiała.

Przegląd Katolicki (Nr. 28) usiłuje bronić kard. Puzynę przed zarzutem reakcyjności, rzuconym ze szpalt *Kurjera Porannego*; w tym celu ks. Gnatowski odsłania rąbek tajemnicy, kryjącej rolę rzeczonego kardynała na *conclave* 1903 r. Zdaniem ks. Gnatowskiego — a zgadza się ono zupełnie z naszymi rewelacjami — w „nieszczęsnej sprawie *veto* nie szło wcale o „nowy kurs", ale o dogodzenie nietyle wiedeńskim, ile zwłaszcza berlińskim antypatjom..."

Ks. Gnatowski chciałby niejedno jeszcze powiedzieć, ale mu rygor kościelny nie pozwala, tudzież dyskrecja zawodowa. Ale my, których żadne wiedeńskie, *a zwłaszcza berlińskie* sympatje i wpływy nie wiążą, biorąc oddawna pod uwagę zależność naszego kleru od obcych i wrogich nam potęg, wypowiedzieliśmy wojnę *nowoczesnemu Krzyżactwu*, nie czekając, aż nas ono do reszty obezwładni, zgnębi.

* Czytelnicy nasi pamiętają niechlubną rolę, jaką odegrał podczas pogrzebu Orzeszkowej w Grodnie, miejscowy dziekan, ks. Ellert (ob. Nr. 24 *Prawdy*).

Mimo sutego honorarjum, ks. dziekan ujawnił demonstracyjne niedbalstwo i wytworzył przykry zgrzyt w podniosłym nastroju obrzędu, na co skarżyły się niektóre pisma polskie. Potym dopiero wyszło na jaw, że ks. dziekan rościł pretensje do majątku Gnojnica, niegdyś do jezuitów należącego, a potym stanowiącego własość przodków niezapomnianej Zmarłej. Pomysłowy i rzutki ksiądz uznał dzień pogrzebu Orzeszkowej za moment odpowiedni, aby „restytucję" rzeczonego majątku wymusić. Stąd wstręty, czynione przezeń organizatorom pogrzebu. Sprawa oparła się o sąd djecezji wileńskiej i oto dowiadujemy się z listu pomieszczonego w *Kurjerze Warszawskim* d. 10 b. m., że wyrok w dosłownym tekście brzmi:

Po dokładnym rozpatrzeniu przedstawionej mi przez dziekana grodzieńskiego, ks. kanonika Ellerta, i członków komitetu pogrzebowego ś. p. Elizy Orzeszkowej, sprawy „restytucji" kościołowi za majątek po-jezuicki Gnojnica, rzekomo nieprawnie zawładnięty przez przodków ś. p. Orzeszkowej i następnie sprzedany przez nią włościanom, uznałem: 1) pretensję ks. dz. Ellerta, jako wspartą na dowodach niedostatecznych, za nieuzasadnioną; 2) prawo własności ś. p. Orzeszkowej i jej przodków na majątek Gnojnica, z przedstawionych mi przez rzeczony komitet dokumentów najzupełniej i bez najmniejszej wątpliwości za stwierdzone; 3) pamięć ś. p. Orzeszkowej i jej przodków wolną od najmniejszego nawet cienia zarzutu nielegalnego władania Gnojnicą; 4) co za tym idzie, że spadkobiercy ś. p. Orzeszkowej do żadnej „restytucji" kościołowi z jakiegobądź tytułu nie są obowiązani; 5) egzemplarz niniejszego przesłać W. ks. dziekanowi Ellertowi i W. P. Maksymiljanowi Obrębskiemu z załączeniem przedstawionych mi przezeń dokumentów.

List, datowany z Grudnia d. 7/VII, podpisali pp. Leon Bielawski, dr. Aleksander Talheim, dr. Stefan Szumkowski, Kazimierz Giedrojć, Jan Grzeżułko, Maksymiljan Obrębski.

* Redakcja *Izraelity*, która sprawę współżycia Polaków i żydów postawiła na właściwym gruncie *asymilacji świeckiej* w odrodzeniu od *odrębności wyznaniowej*, dobrze zrobiła zamieszczając w ostatnim 13 numerze wyborny artykuł Aleksego Kurcjusza, którego przytaczamy zasadnicze myśli:

Rabinizm jest żydowskim wydaniem klerykalizmu tylko bez tych zamaszystych zaborczych ambicji i bez światowładnych tradycji. Rabinizm rozumie doskonale, że całą racją jego bytu jest to ciemnota i niemoc kulturalna mas żydowskich; rozumie, że wydźwignięcie ich na poziom nowoczesnej kultury jest dla niego grobem samobójcy. Każdy powiew uzdrawiającej cywilizacji robi się rodzajem protestantyzmu i odrodzenia w mrokach i w stęchliźnie rabinizmu. Stąd konieczność odgradzania się i zasklepiania się w sobie teokratycznych gmin żydowskich, ażeby tam bezkarnie mogli gospodarzyć rabini, gdyż to zasklepianie się jest jedynym środkiem ratunkowym, jedyną fortecą, mogącą odpierać tryumfalny pochód cywilizacji pośród żydowskich mas...

Dla asymilacji żydów w Królestwie mało się dzieje, lecz wszystko prawie dla ich separatyzmu. Rozwiązać kwestję żydowską w Polsce jest to kolegować z żydami w szkole i w życiu przy każdym warsztacie użyteczności publicznej. Prawda ta jest tak oczywistą, że nieraz nawet kolegowanie tylko na ławie uniwersyteckiej, lub gimnazjalnej już wystarcza, ażeby ją usunąć ze stosunku pomiędzy kolegującymi. Tymczasem praktyka życiowa jest wręcz przeciwna. Dziecko polskie z dzieckiem żydowskim nie bawi się i nie uczy się w szkole początkowej między innymi z powodu administracyjnego pielęgnowania mełamedyzmu. Wyrostek polski nie koleguje z wyrostkiem żydowskim w szkole średniej i w uniwersytecie, gdyż procentowy stosunek na to nie pozwala, dorosły Polak i żyd nie kolegują na stanowiskach społecznych, przy tej, lub innej pracy, gdyż wyjątkowe prawodawstwo odnośnie do żydów i Polaków uniemożliwia spotkanie się na tym gruncie: nie kolegują oni nawet wówczas, gdy dotknięci są pokrewnym nieszczęściem w szpitalu, lub w zakładzie dobroczynnym, gdyż separatyzm aż w te sfery przenika. Jeżeli pomimo tego w warunkach możliwie nieprzyjaznych asymilacja zyskuje sobie pewien teren, to raczej można mówić o jej tryumfalnym pochodzie, aniżeli o jej bankructwie. Ta rodząca się asymilacja żydów nie jest wynikiem planowo zamierzonej metody życia społecznego, którą żydzi i Polacy, jako społecznie i politycznie ubezwłasnowoleni, bynajmniej zastosować nie mogą. Tylko zmiany w organizacji politycznej Państwa Rosyjskiego mogłyby zapoczątkować zwrot ku lepszemu pod tym względem.

Z prasy rosyjskiej.

* *Riecz* podaje wiadomość o mającym się odbyć zjeździe senatorów-rewidentów. Zjazd ów, wyznaczony na drugą połowę lipca, zostaje otoczony głęboką tajemnicą. Używa się wszelkich środków ku temu, ażeby naradom nadać zupełnie prywatny charakter swobodnej wymiany poglądów, wymiany niezbędnej wobec wspólności zadań rewidentów.

W istocie jednak — czyni uwagę *Riecz* — narada owa wykracza daleko poza granice prywatnej konferencji. Prócz codziennych zagadnień, dotyczących np. układu najpoddańszych raportów; na porządku dziennym znajdzie się niezmiernie ważna sprawa oddania pod sąd osobistości prywatnych, które w swych operacjach handlowych z intendenturą rozminęły się z literą prawa. Pociągnięcie do odpowiedzialności dostawców, których działania ze stanowiska ściśle prawnego podpadałyby pod wyroki sądowe, — wywołać może gwałtowny popłoch w świecie przemysłowo - handlowym. Należałoby tedy dokładnie ustalić, za jakie właściwie sprawy osoby postronne mogą ulec odpowiedzialności. Jeszcze ważniejszym jest pytanie dotyczące instrukcji dla rewizji senatorskich, pytanie, które także stanie się przedmiotem narad wspólnych. Ponieważ rewizje obecne pod wpływem okoliczności bieżących, nabrały osobliwego charakteru, który zasadniczo zmienił istotę ich w porównaniu z dawnym typem rewizji senatorskich, przeto zachodzi potrzeba specjalnych instrukcji dla uczestników rewizji. Wobec komplikacji zadań, przewidywać można, iż narady potrwają do dwóch tygodni, oraz, iż wezmą w nich udział także senatorowie, rewidujący Syberję.

Jakkolwiek poważnie i sumiennie zapatrywać się będą senatorowie na swą misję opatrznościową, społeczeństwo nie może obronić się refleksjom sceptycyzmu i zwątpienia co do zbawczości swych misji. Wyraz tym zastrzeżeniom i wątpliwością dają *Kijewskija Wiesti* w artykule wstępnym z dn. 17 lipca. Zarządzenie rewizji przyrównywa organ kijowski do słynnej beczki Danaid, symbolizującej trud równie usilny i gorliwy, jak jałowy i beznadziejny. W przeciągu ostatnich lat dziesiątków — czytamy—senatorzy wielekroć dokonywali swych „najazdów”. Pewne okolice odwiedzane były bardzo często: wszelako każda nowa rewizja odsłaniała obraz wzruszająco podobny do poprzedniego. Tu i owdzie przycięte zgniłe gałęzie a zwłaszcza „bujne” latorózgi nie nadwerężały korzeni i soków wewnętrznych; cóż więc dziwnego, że między jedną a drugą katastrofą wyrastały dawne, nieraz bardziej jeszcze jadowite owoce. Podniesienie zaś rewizji senatorskich — tego ze swej natury nadzwyczajnego środka walki ze złem—do godności stałego organu rządzenia, jak się to dzisiaj czyni, stwarza jedynie fikcję walki, przetwarzając je w jedną z podstaw tego samego układu, który zwalczać i trzebić miało być ich celem i powołaniem.

KRONIKA.

KOMISJA DO SPRAW KOBIECYCH przy T. Kult. Polsk. nadsyła nam z prośbą o przedrukowanie odezwę następującą:

„Ankieta dla uczczenia Orzeszkowej.

Najwznioślejszym pomnikiem twórczości Orzeszkowej jest wpływ jej na pokolenia kobiet współczesnych.

Dzieła zmarłej autorki były tym dzwonem, który budził śpiące umysły, zaczarowywał do pracy pieszczone ręce panien, niecił w duszach poryw samodzielności i jasne uświadomienie potrzeby niezależnego bytu. Ktokolwiek miał sposobność wysłuchać spowiedzi najwybitniejszych naszych pisarek (z Marją Wysłouchową na czele), pracownic i działaczek na wszystkich polach, ten wie, dla jak wielu z pomiędzy nich bodźcem był los nieprzygotowanej do życia Marty i innych bohaterek Orzeszkowej.

Głosy tych kobiet, ujawnione na zewnątrz, byłyby najwspanialszym hymnem nad grobem naszej pisarki.

To też w nadziei, że wszystkie zechcą złożyć hołd Wielkiej Zmarłej i przyczynić się do pracy, rzucającej światło na pola naszej znajomości własnego społeczeństwa, Komisja do spraw kobiecych przy Tow. Kultury Polskiej podejmuje ankietę, której wyniki pragnie ogłosić drukiem.

W tym celu zwraca się do kobiet polskich z prośbą, aby zechciały odpowiedzieć na następujące pytania:

Kiedy i w jakich warunkach przystąpiła Pani do czytania prac Orzeszkowej, zwłaszcza powieści „Marta”?

Jaki wpływ wywarły one na Nią?

Czy zaważyły w życiu Jej czynem lub aktem woli doniosłym?

Czy w otoczeniu Pani nie znalazł się ktoś, dla kogo były one również drogowskazem przyszłości?

Odpowiedzi do 1-go Listopada r. b. włącznie mogą być nadsyłane pod adresem pań: Cecylji Walewskiej (Chmielna 56), Izy Moszczeńskiej (Piękna 45-a) i Julji Dicksteinówny (Marszałkowska 117) w Warszawie.

KONFISKATA. Z rozporządzenia komitetu wileńskiego do spraw prasowych został skonfiskowany Nr. 28 tygodnika *Wiedza*, wychodzącego w Wilnie, za artykuł „Zamiary a siły.

Ostatni (15) Nr. tygodnika *Trybuna* skonfiskowany został z rozporządzenia miejscowego komitetu do spraw prasowych.

KOOPERATYWA: Gubernator warszawski zatwierdził ustawę Tow. kooperacyjnego pod mianem „Związek mleczny”, we wsi Grabów, w pow. Włocławskim. Związek ten zakłada własną mleczarnię.

Zatwierdzono też ustawę Tow. kooperacyjnego, w Kutnie, pod nazwą „Kutnowianka”, które będzie utrzymywało własny sklep.

OGŁOSZENIA.

Prenumerata „Prawdy”

(wraz z bezpłatnym dodatkiem):

W Warszawie: miesięcznie kop. 70, kwartalnie rb. 2, rocznie rb. 8, z odnoszeniem do domu.

Z przesyłką pocztową do wszystkich miejsc Królestwa, Cesarstwa i zagranicy: kwartalnie rb. 2 kop. 50 rocznie rb. 10.

Za zmianę adresu dopłaca się 20 kop.

Sekretarz redakcji przyjmuje interesantów codziennie, oprócz niedziel i świąt, od 12—2 pp.

Rękopisów nie odsyła się. Autorowie prac nieprzyjętych mogą je odbierać w przeciągu trzech miesięcy, osobiście w Redakcji lub za pośrednictwem poczty, po nadesłaniu kosztów przesyłki. Rękopisy drobne nie zwracają się.

Korespondencji nieopłaconych lub niedostatecznie opłaconych nie przyjmuje się.

Ogłoszenia wszelkiej treści po k. 20 za wiersz garmontowy jednoszpaltowy lub jego miejsce (strona ogłoszeniowa zawiera 4 szpalty).

Przedpłatę przyjmują: Administracja **Prawdy** oraz wszystkie księgarnie, kjoski i kantory pism perjodycznych.

Sprzedaż pojedyńczych numerów po kop. 20 w Warszawie w Administracji pisma i w kioskach.

Administracja otwarta codziennie, z wyjątkiem niedziel i świąt, od godz. 10 do 5 pp.

TREŚĆ:

Wydawca: **Józef Jabłoński.** Redaktor: **Aleksander John.**

Druk K. Kowalewskiego. Warszawa, Mazowiecka 8.